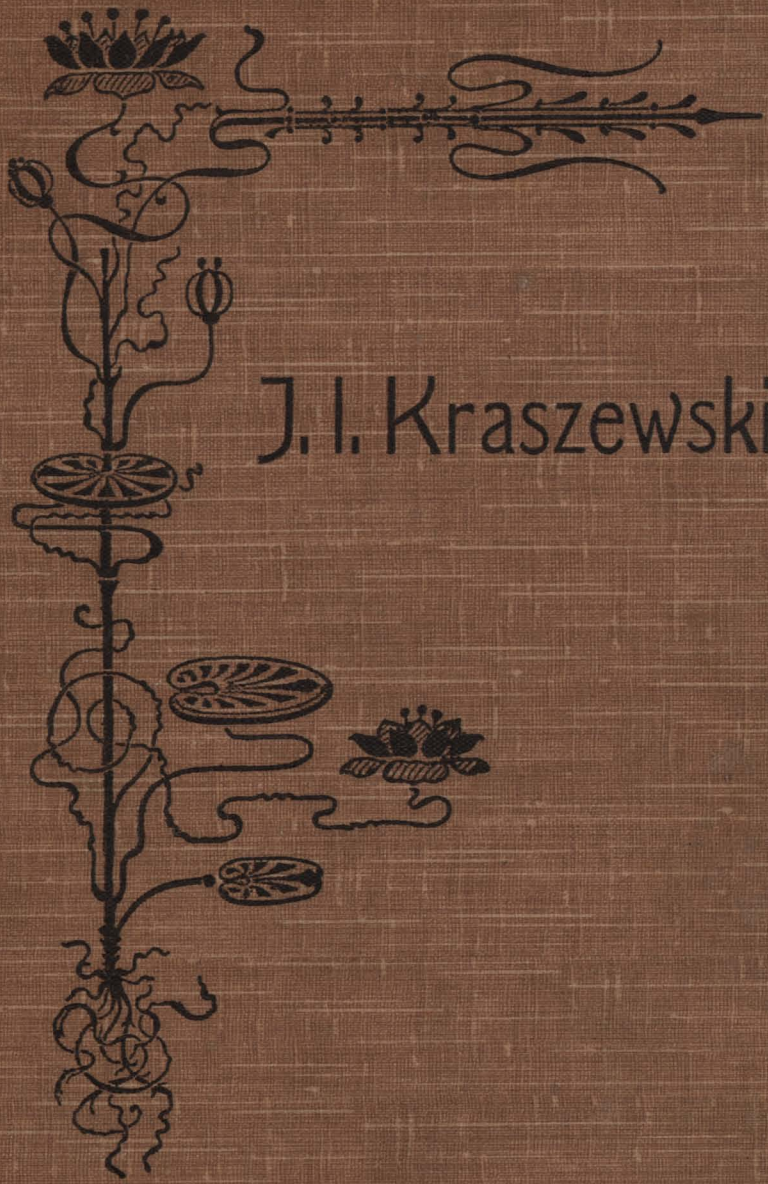

J. I. Kraszewski

J. I. KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

Tom trzydziesty trzeci.

JELITA.

LEGENDA HERBOWA

z roku 1331.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Kraszewski

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—

1889.

Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Декабря 1888 года.

MC/M/ 284

Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr. 9.

PANU GRACJANOWI

UNGROWI

wdzięczny

Autor.

Drezno 1 Stycznia 1881.

I.

Pora była jesienna, jeszcze letnem ciepłem ogrzana; na polach stały tam tylko nie pozwożone do brogów i stodół kopy, gdzie duchowieństwo dziesięciny z nich swojej nie oddzieliło; mało który zagon pochylonem od wiatru i deszczów zbożem był okryty. Na skoszonych łąkach pasło się bydło swobodnie, na ścierniach rozproszone czerniały owce. Wśród żółtych pól, pasami zorane na przyszłą siejbę, widać było role czarne, nad któremi ulatywało ptactwo szukające w świeżej ziemi robaczego żeru.

Na niebiesiech jeszcze jesień nie rozwiesiła była szarych opon deszczowych, porozrywane tylko obłoki przesuwały się po bladym błękicie, złotemi i pomarańczowemi bramowane pasami słonecznych promieni. Wiejska cisza otulała osadę wielką, zdala lasami otoczoną.

Siedziała ona tu zakryta od napaści nieprzyjaciela, który tak często kraj niszczył i pustoszył, bo nigdzie koło zgliszcz widać nie było, a chaty czas miały postarzeć w spokoju.

W pośrodku na wzgórzu, opasany wałem porosłym zielenią, a obwarowanym częstokołem, rozsiadał się dwór duży drewniany z dachem wysokim. Brama wyższa jeszcze od niego wjazd wskazywała. Stała ona teraz otworem.

W podwórzu dosyć pustem, wśród którego studnia z żórawiem i korytami najwidniejszą była—rozłożyły się wozy jakieś, od których konie odprzęgano, jezdni zsiadali, gwarno było i czeladzi dużo, wybiegłszy z szop kręciło się pośpiesznie około dworu.

Włodarz miejscowy w długiej opończy podpasanej rzemieniem, w czarnych skórzniach, z twarzą ogorzałą, z długiemi włosy spadającemi na ramiona, czapkę wysoką w ręku trzymając, w drugiem kij biały, zdawał się zajęty i zakłopotany ugaszczaniem przyjezdnych.

Spadli tu widać niespodziewani, bo wszystko się koło nich kręciło potraciwszy głowy...

Dwór pański, który w podwórzu się rozglądał, wcale był wspaniały i znamionował dostatniego człeka... Kilkudziesięciu zbrojnych w nielada oręż, na koniach dobrych i strojnych, wozów kilka, odzież czeladzi barwna, postawy dworu i żołnierza dumne a rzeźkie, mogły bodaj udzielnego książątka w podróży kazać się domyślać...

Gospodarowało tu owo rycerstwo jakby w domu. Jeden, starszy widać nad orężnemi, do włodarza nakazująco przemawiał, a ten czapki nie nakładając, zafrasowany czeladź popędzał.

Trzeba było pomieścić ludzi i konie, na wypadek słoty kędyś pod dach zaciągnąć wozy, choć one skórami ponakrywane były, w ostatku garść tę znużoną i zgłodniałą, karmić i poić.

Włodarza też głos ochrypły, a krzykliwy co chwila nawoływał parobków, a ci biegali to i owo chwytając postraszeni. Jeden pochwycił już był żuraw i stanąwszy na zrębie studni co rychlej wodę w koryta nalewał, bo konie spragnione do suchych się cisnęły; drugi siano z szopy ciągnął. Rycerstwo nakrzykiwało i klęło... Ten sam ruch widać było przy dworze, którego drzwi wszystkie otworem stały, i okna były odsunięte.

Lecz tu oprócz czeladzi, przybyłych gości nie widać było.

W sieniach dwu zbrojnych spoczywało na ławie, żelazne hełmy pozdejmowawszy z głowy; siedzieli znużeni nic nie mówiąc do siebie.

W izbie sąsiedniej, której drzwi nie zamknięte były tylko przywarte, dawał się słyszeć krok ciężki mężczyzny, który zwolna, dziwnie się jakoś poruszał. Po tym chodzie znać było jakby go droga odbyta nie uspokoiła i nie znużyła.

Zbrojni co słuchali pode drzwiami spoglądali czasem na siebie, jakby się pytali — co on robi...

W istocie ktoś tam się poruszał jakby bez myśli, a pod władzą uczucia co nim miotało.

Szedł to żywo bardzo i jakby pędził za czemś, to stawał nieporuszony, to wlókł się, nogi za sobą ciężkie pociągając... Ruchom tym towarzyszył to szczęk oręża, który musiał mieć na sobie, to dychanie piersi zmordowanej...

Czasami przysiadał ciężko na ławę... słychać było uginające się pod nim suche drzewo, to wstawał pośpiesznie i biegał po izbicy, zbliżając się ku drzwiom samym i oddalając w drugi koniec... zkąd głucho stąpania dochodziły.

Orężna straż ile razy się przysunął ku drzwiom, zdawała się gotować do powstania, a gdy się nie doczekała pana, opadała znużona, swobodniej oddychając...

Tymczasem w podwórzu orszak pański zabierał się na nocny spoczynek, bo wieczór nadchodził.

W chacie stojącej niedaleko dworu baby już rozniecił były ognisko wielkie, widne przez drzwi roztwarte, któremi dym wilgotnych, nagle podpalonych polan wychodził kłębami.

W drugiej obok, gdzie łaźnia była, także parobcy co rychlej nakładali drzewo, aby dla podróżnych choć późno kąpiel była gotowa.

Zwolna słońce blade spuszczało się po za chmurami przeświecając ku zachodowi. Od wsi dochodził

teraz gwar i beczenia a ryk trzód, które z pastwisk powracały... Zdala u stawu kołatał młyn. Stada kaczek sznurami i gromadami przeciągały na błota.

Z izby, po której się przechadzał przybyły, pan czy gość, niekiedy przez okno odsunięte, otwarte pokazywała się głowa...

Ile razy ona wyszła z tych ram, na ciemnem tle głębi izby, ci co w podwórzu stali a ujrzeli ją... jakby po nich mrowie przechodziło, prostowali się, milkli, stawali pokorni i gotowi na skinienie.

Była to głowa, która na lada ramionach siedzieć nie mogła, ni do lada kogo należeć.

Pańskie oblicze, groźne, straszne, piękne razem i trwogę wrażające. Dwoje oczów siwych ale bladem wejrzeniem zimnem przeszywających, nos orli, czoło wysokie, usta ściśnięte, policzki blade zorane już brózdami trosk i lat... Dokoła włos bujny siwiejący...

Z ust dziwnie złożonych, niby do uśmiechu i kąsania razem, duma, pycha, panowania siła i żądza dyszeć się zdawały.

Gdy wargi te zadrgały a oczy im szarym blaskiem swym szklannym zawtórowały—najmężniejszy poczuł trwogę, którą czeladź na widok tego bladego oblicza przejmowała...

Głowa ta wysuwała się nagle, jak popchnięta czemś ze środka, ale nie spoglądała na ludzi co się nią czuli zagrożeni—patrzała gdzieś w dal, jakby wyczekiwała i nasłuchiwała...

Chwilę tak malowała się na czarnem tle, z dwojgiem rąk silnych spartych na zrębie okna, i ginęła w mroku...

Naówczas straż siedząca na ławie w sieni słyszała znowu chód niecierpliwy, chrzęst i stękanie...

Zmierzchać zaczynało, gdy zdala ziemia zadrgała jakby od kopyt końskich...

Zbrojni ludzie u studni pozwracali oczy ku gościńcowi i głowa w oknie błysnęła... Stanęła, nie cho-

wając się długo do głębi. Rękę przyłożył nasłuchujący do ucha, czekał...

Słychać było kłusem nadjeżdżających, których za drzewy i budowlami widać jeszcze nie było.

Zbliżali się. Rozeznawali już w podwórzu nie tentent pędzonego stada, co się płosząc rozpędza, ale mierzone kroki gromadki ludzi, których konie nawykły iść razem. Szczękało jakby żelazo... Chód był ciężki...

Głowa w oknie poruszała się żywo, wychyliła więcej jeszcze... Z za opłotków ukazały się żelazne hełmy spiczaste... i dzid kilka... Patrzący znikł odbiegłszy stanowiska.

Kilkanaście koni zmierzało ku wrotom otwartym.

Przodem jechał w pięknej zbroi, czarnowłosy, silnie zbudowany mąż, na koniu ciężkim i spoconym. Żelazem był okryty na pół choć w podróży, obyczajem tych co go nigdy nie zwykli byli zrzucać, aby ramion nie oduczać od rycerskiego brzemienia. Za nim tuż pachole tarcz wiozło i miecz, a dalej zbrojni wąsaci, zarośli, chłop w chłopa ludzie dobrani a rośli, różnie pouzbrajani pędzili na koniach postrojonych jak kogo stało, w rzemienne i mosiężne rzędziki.

Na tarczy, którą pachole wiozło, i na hełmie u tego co przodem jechał, widać było znamię zawołania, hustę białą, zwiniętą ze spuszczonemi końcami.

Po znaku tym ludzie w podwórzu musieli się domyślać kogoś, bo między sobą żwawo szeptać zaczęli, rozstępując się i drogę wolną czyniąc przyjezdnym.

Jadący na przedzie zobaczywszy orszak u studni, trochę żywiej podjechał pod dwór, i osadziwszy konia, zsiadł z niego nie troszcząc się oń, bo już pacholę u cugli stało.

Sam krokiem pośpiesznym wbiegł, ledwie na straż w sieni spojrzawszy, która zobaczywszy go powstała i drzwi do izby otworzył, gdzie w progu czekał nań wcześniej przybyły.

Ten, któregośmy siwą głowę tylko widzieli w oknie,

stał teraz cały czekając na gościa, jeszcze z podróżnej zbroi nie rozdziawszy się — przy mieczu, głowę tylko mając od hełmu wyswobodzoną, który na stole wśród izby rzucony świecił blaskiem jaki okno nań ciskało.

Spojrzeli sobie w oczy i przybyły rękę wyciągnął ku gospodarzowi.

Nie powiedzieli słowa do siebie, oczyma mierząc się tylko...

— Bóg płać—głuchym, stłumionym głosem, ozwał się wreszcie siwy mąż — Bog płać żeście przybyli... Sroga potrzeba była rozmowy...

Postąpili kilka kroków ku przodkowi wielkiej a pustej izbicy. Czysta ona była, ale snać dawno nie zamieszkiwana, bo w niej okrom niezbędnego sprzętu ław i stołu jakby wrosłego w podłogę, nie było nic.

Na stole hełm się świecił i dzban stał a kubek... Na ławie leżał płaszcz ciśnięty od niechcenia...

— Biegłem jakom mógł i co sił starczyło do Pomorzan—począł teraz hełm zdejmując i czoło ocierając z potu przybyły. Poseł wasz mi napędził strachu, bo mi na łeb śpieszyć kazał do was. Obawiałem się zastać tu co złego...

— I niceś tu dobrego nie zastał — odparł głosem drżącym siwy.

— Cóż? wojna? Krzyżacy znowu na karku... Nie nowina to—odezwał się gość.—Jeżeli ich nie mamy, zawsze się ich spodziewamy... Rozejm pono wypowiedziany, więc już niszczą pewnie lub w Mazowszu albo gdzie na granicy...

— Krzyżacy! Krzyżacy! — z gorzkim uśmiechem żywiej coraz począł siwy. — Toć chleb powszedni — nie byłoby po co was wołać na nich.

Potarł czoło i urwał, a po chwili silnie się w piersi bijąc krzyknął.

— Nie oto dziś idzie, ale o mnie i o wszystkich

nas i o tę ziemię Wielkopolską całą, która przepadnie...

— Jakto! — odparł zdziwiony gość.

— Tak, jak mówię — unosząc się ciągnął dalej siwy... Nadeszła ta godzina, że jej bronić potrzeba.

— Od kogo??—zdumiony spytał stojąc gość.

Siwy, którego kilka słów wyrzeczonych już o jakieś roznamiętnienie przyprawiły, nie mogąc czy nie śmiejąc powiedzieć co myślał.

— Rozgośćcie no się—rzekł hamując—pomówimy o tem, bo mówić o czem jest, na Boga miłego!!

Spocznijcie z drogi, siadajcie... ja, też ledwiem z konia zsiadł, ale we mnie wre wszystko... jeszczem nawet tchnąć nie mógł.

— Straszycie mnie!—rzekł, spokojnie miecz odpasując gość.—Ani mogę odgadnąć o co idzie i co was tak zaniepokoiło...

— Chybabyś kamiennym był—zakrzyknął siwy—abyś jak ja nie zakipiał, gdy ci rozpowiadać zacznę. Ale, gościem mi jesteście, synowcze miły, naprzód trzeba po podróży ciało pokrzepić.

Klasnął w ręce. Wszedł jeden z siedzących u drzwi.

— Jeść i pić niech dadzą co mają — zawołał — a nie opieszale!! Włodarza pędzić aby nas nie możył głodem...

W dzbanie woda tylko...

Wyszedł zbrojny.

Gość się tymczasem ze zbroi powoli rozdziewał, i ręce wyciągał, a nogi prostował. Ciemne swe włosy rękami poprawił i na tył głowy zarzucił.

Twarz jego wyszła teraz w całym blasku.

Gdyby nie wieku różnica i nie to co on zawsze po sobie zostawia, gdyby nie życia zapisane ślady, twarz siwego do tej młodszej byłaby wielce podobną. Rysy mieli też same, lecz wyraz ich był różny. Ciemnowłosy miał coś rycerskiego, butnego a lekceważącego w sobie, zwiastującego, że życie brał po prostu,

szedł jawnie do celu, a mówił jak myślał... I gdyby zgrzeszył byłby grzech swój wyznał.

Starszy tę butę miał już przerobioną na dumę niezmierną, drażliwą, chorobliwie bolejącą, niespokojną...

W tej chwili była ona jak rana rozdarta — tknąć jej nie można było.

Wrzenie wewnętrzne zdradzało się poruszeniami i wzrokiem obłąkanym, a ostrym.

Nie rozpoczęli jeszcze rozmowy, gdy już czeladź żeńska i męzka, tak po prostu odziana, jak ją tu niespodziani goście zastali, wnosić poczęła jadło niewykwintne, mięsiwa pieczone, polewki, jaja, kaszę a do nich piwo i miód.

Oba do wojaczki i myśliwstwa nawykli, niewybredni rzucili się na ten posiłek chciwie. Lecz starszy szybko zaspokoiwszy głód, rychło porzucił jedzenie, nóż swój otarł, ręce obmył i począł po izbie się przechadzać zasępiony. Dłużej u stołu pozostał gość, oczyma ścigając gospodarza i przekąsając powoli.

Stróż tymczasem w kominie ogień wieczorny naniecił, a gdy dojadł gość, zebrano misy i zostawiono tylko miód i kubki.

Starszy popijał coraz, lecz w taki sposób jakby sam nie wiedział co czynił. Zaprzątnięty był czem innem.

— Miły stryju—odezwał się, napróżno wyczekawszy, by mówić począł czarnowłosy — czekam na to coście mi mieli rzec, i po co wezwany byłem tak pilno...

Siwy się namarszczywszy stanął i począł patrzeć nań.

— Obaśmy Świdwy — począł — tyś syn brata mojego, a dziś gdy jego na świecie nie ma, tyś drugiej gałęzi naszego rodu, zawołania Nałęczów, głową... Nie z Dobkiem chciałem mówić, a z Nałęczem i temi co z nim idą...

— Wiecie—odparł Dobek spokojnie—że dotąd po

Bożemu ród nasz zawsze, w złej i dobrej doli spójny był i jako snop związany... Nie rozwiąże on się teraz...

— Wszystkich bo nam sił trzeba, aby się nie dać pognębić — zawołał stary Świdwa.

Dobek słuchał jakby nie rozumiał.

— Ojczaszku—rzekł łagodnie—bom ja od śmierci pana rodzica mojego tak was nawykł zwać — ojczaszku, cóż nam zagrażać może?

Dzięki Bogu, stanęliście z łaski pana a króla naszego tak wysoko, że całym krajem władacie. Wielkopolską rządzicie, panem jej jesteście...

Stary żachnął się cały.

— Tak! tak! mówisz o tem co było—zakrzyknął—a co nie jest!..

Tak, król mi oddał wielkorządy w Polsce, bo ja mu ten kraj dałem, jam mu go ocalił, jam wyrwał z rąk Szlązaków... Należało mi się to i — więcej... Gdyby nie ja, dawnoby stracił Poznań i Gniezno... Dał mi wielkorządy bo musiał i był powinien...

Zapalał się stary.

— Nie tylko mnie — ciągnął dalej — ale dzieciom moim Wielkopolska należała—gdyby nie ja, niemiałby jej Łoktek dawno...

Na tom rachował, żem tu dla siebie pracował nie dla niego. Byłbym koronie jego hołdował, z nią trzymał, służył mu, ale w kraju tym, który już za swój uważałem, com robił to była moja sprawa... Jam tu panem powinien był pozostać... jak inni...

Tu stary połknął znać nazwisko pomorskich panków, które chciał wymówić.

Dobek słuchał coraz poważniejąc.

— Teraz, jeżeli ja nie opatrzę się wczas co czynić — mówił Świdwa — stracone wszystko... Jaki mi koniec gotuje ten chytry starzec... któż przewidzi. Jestem dla niego kamieniem na drodze, solą w oku...

Chciwy, pochłonąłby wszystko, gdy tego co ma utrzymać mu trudno... Czeski król Jan, Krzyżacy.

Mazury, wszystko przeciwko niemu... Zamiast bronić Krakowa, on sięga po Wielkopolskę.

Zaczął się śmiać szydersko.

— Ojczaszku—odparł z cicha Dobek—aleć bo to przecie jego dzielnica, przecie on koronowany król nasz...

— Tak! tak! koronowany! — śmiał się Świdwa. Korony ja mu z głowy nie zdejmuję, ale w Poznaniu ja — pan... Hołdu mu nie odmawiam, a wyrzucić się nie dam... Jużem zaraz podejrzewał złe zamiary gdy tu młodego Kaźmierza z żoną wysłał na mieszkanie do mnie...

Teraz mu już wielkorządy oddaje, a ja wojewodą mam pod nim być, więcej nic?..

Z zamkum się dla królewicza wynosić musiał precz... Rozumiesz ty to??

Patrzał na Dobka, który wcale nie okazywał wzruszenia.

— Ojczaszku — począł uspokajająco. Rozumiem ci ja, że tobie coś tu długie lata jakby udzielnym był książęciem, teraz pod rozkazy iść dwudziestoletniego młodzieniaszka może przykro, ale, miły panie, syn to królewski... ziemia królewska... Cóż począć!!

Stary Wincz Świdwa (tak go z Wincentego mianowano) cały się wtrząsnął.

— Tego nie zniosę, nie będzie to! — krzyknął — raczej niech wszystko przepada niżbym ja miał cierpieć upokorzenie...

Byłby może zapędził się dalej, w wyznaniach co chciał poczynać, gdyby go wyraz twarzy Dobka, na którą spojrzał nie powstrzymał.

Dobek jego oburzenia nie dzielił, stał zimny.

— Gotujcie się na moje rozkazy, do kupy pod moją chorągiew—odezwał się Wincz po małym namyśle. Tom wam chciał rzec... Nie opuścicie mnie przecie samego...

Nałęcze i ich powinowaci pójdą za mną. *Powinowactwo* nie co innego znaczy tylko *powinność*

rodowi... Za Nałęczami oprócz ich nieprzyjaciół plemiennych, muszą wszyscy... Będzie tego więcej niż pół Wielkopolski...

— Na Boga, ojczaszku—przerwał podchodząc Dobek — uspokójcie się ino... Ślijcie albo jedźcie do króla, ale mu tak zaraz nie rzucajcie rękawicy... Możni my tu jesteśmy ani słowa, macie przyjaciół, ale i na nieprzyjaciołach nam nie zbywa... Łoktek stary jest... przyciśnięty... prawda, ale król to i pan nasz...

Węgry za nim stoją, Papież się nim opiekuje...

Pan to nasz namaszczony...

Wstrząsł się Wincz stary i huknął.

— Milcz-że. Wiem ja to wszystko... On król a jam wielkorządca, nie synaczek jego... Niech go sobie posadzi gdzieindziej, ma zamków dosyć — ja go w Poznaniu, gdziem pierwszym był, nie ścierpię. Drugim tu nie mogę być! nie będę!

Odwrócił się i począł chodzić żywo. Buchał z niego gniew. Dobek patrzał, stał, milczał.

— Ojczaszku, na Boga! namyślcie się, podumajcie — rzekł w ostatku — widząc, że stary zżyma się i rzuca ciągle. Królowi wojnę wypowiedzieć, nie mała rzecz... Łatwiej pono się na to rzucić, niż podołać temu. Sroga to sprawa! Boże uchowaj!

— Ani tak straszna, ani taka ona trudna jak ci się widzi—krzyknął Wincz.—Niewiesz jaką siłę mam... Niech ja tylko Łoktka odstąpię, a szala się przeważy... Pójdzie chyba znów na skargę do Papieża, ale już nie do Rzymu, a do Awenionu... a będzie kląć?! Jużci my do tych piorunów nawykli. Nauczyli nas Krzyżacy że można pod klątwą żyć i nic się nie stanie człowiekowi.

Dobek ręce załamał. Stary Wincz mówił coraz gorącej.

— Ma króla Jana Czeskiego przeciwko sobie, który się też polskim królem zowie, a jego krakow-

MUZEUM JIK W POMANOWIE
284

skim królem tylko zwą; ma Brandeburgów, ma Szlązaków przeciwko sobie, ma moc krzyżacką, a ta nie mała jest, niech ja stanę po ich stronie—wygnamy go!!

Oczy mu się zaiskrzyły okrutnie. Dobek milczał namarszczony,

— Cóż ty na to? co?—nalegał zapalony starzec.

— Milczę—rzekł powolnie Dobek.—Wyście ojczaszku mocno zażaleni, a żal pomiarkowania nie zna... Trzeba ochłonąć.

— Nie! trzeba drugich rozpalić!—zawołał Wincz.— Ja? nie ochłonę! Jam zestarzał na wielkorządach, posiwiał, a miałbym na starość karku ugiąć przed młokosem? Nigdy!!

— Sroga rzecz! sroga! zamruczał Dobek—rozmysłu trzeba. Jeżeli się wam niesprawiedliwość stała, do królaby iść, wprost, a otwarcie mu skarżyć...

Wincz się rozśmiał.

— Tak to znasz Łoktka? — krzyknął. — On gdy co postanowi raz, żelaznym klinem mu tego nie wybić zgłowy... Mały jest, stary... lat siedemdziesiąt mu, ale kamienny... Syn ten, to jego ukochanie... to jego przyszłość cała... dla niego mnie poświęcił. Targować się z nim, wodę warzyć daremno... Chciał nieprzyjaciela, będzie go miał we mnie.

Ja sobie kraju tego wydrzeć nie dam!

To mówiąc uderzył nogą w podłogę, aż na stole kubki zadrgały.

Dobek przyszedł powoli doń i chciał go w ramię całować, aby uspokoić, odepchnął go stary i rzucił się na ławę,

— Dla was ja i dla całego rodu pracowałem — począł głosem przerywanym. — Z tej ziemi chciałem dziedzictwo zrobić dla plemienia mojego... Także samo z Pomorzem się stało... z wielkorządców porośli władycy... Ale jabym się był nie odrywał od korony i tak jej hołdował jak Szlązacy czeskiemu królowi. Byłbym wiernym pozostał...

W samo serce mnie ugodził niewdzięczny Łoktek...

I zwiódł mnie. Powiedział, że Kaźmierza z młodą żoną nie ma kędy posadzić — i tylko mu na zamku mieszkanie dać niby chciał, a łowy w lasach. Co mi to szkodziło? nie sprzeciwiałem się. Aliści najechali, zamek ich pełen... polaków, litwy, służby, czeladzi, ciurów, bab... już dla wielkorządcy kąta niema... Dalej Kaźmierz sobie rządy przywłaszcza i on tu już rozkazuje, a ja stary pod nim—wojewodą!!! Na równi mnie z kasztelanem Jędrkiem stawia! mnie! Wincza Świdwę, z Pomorzan i Szamotuł! Mnie!...

To mówiąc wstał, rozprostował się, i ścisnąwszy rękę a wyprężywszy ją zdawał się chcieć niewidzialnego odpierać wroga.

Dobek czując, że mu się sprzeciwiając więcej go jeszcze podrażni, milczał. Spoglądał tylko szukając w twarzy i oczach znaków uspokojenia, które nie przychodziło.

Stary Wincz coraz to z kubka popijał i mówił, jakby sam do siebie, mniej zważając na Dobka.

— Jeszczem ja tu dosyć silny, aby nie dopuścić czego nie chcę. W Polsce tej mojej lepiej mnie znają i więcej mnie się boją niż Łoktka i synka jego... Jest nas kupa, wszyscy moi pójdą na skinienie ze mną, za mną... Nie odstanie dla niego żaden. Jam zęby na tem zjadł, aby tu się panem uczynić i jestem nim...

Królewicz ze swoją śpiewającą Litwinką i wszystkiemi dziewkami, po za wrota zamku nie rozkazuje... kraju nie zna... ani jego nikt... W Krakowie się chował, na Węgrzech dokazywał, nauczył się pięknie stroić, mówić gładko, śpiewać może, ale do oręża nie zdolny... Młokos jest... z nim ja sobie rady łatwo dam, a Łoktek starzec...

— Samiście przecie mówili, że kamienny to pan!— przerwał Dobek.

— Tak, ale i kamienie ludzie kruszą, a jam też nie przewiąsło słomiane... — zawołał stary uparty Wincz.

— Ojczaszku! — począł błagająco synowiec.

— Nie do rady jam cię tu wezwał — przerwał nie dając mówić Wincz — lecz bym ci rozkazy dał... rozumiesz!...

Zamilkł Dobek.

Po chwili przecie Świdwa trochę się zdał spokojniejszy.

— Przywiedli mnie do ostateczności — odezwał się — nie jam winien, że tam się rzucę, gdzie muszę abym sromu uniknął...

— Jużci pana swojego nie zdradzicie! — szepnął Dobek.

Wyraz ten — zdrady — jak miecz w piersi uderzył starego. Porwał się z wrzaskiem.

— On mnie zdradził! — zawołał — on mnie! Jam miał obiecane wielkorządy do żywota. Nie umarłem przecie... żyję—zdradą mi królewicza na zamek wwiedli, zdradą mnie z mojego stołka zrzucili... Sami oręż mi w ręce pchają!! Biorę go i nie puszczę...

Wśród rozmowy noc nadeszła ciemna, ale chmury się przerzedziły, niebo zaiskrzone od zachodu u góry zczerniało i osypało gwiazdami.

W izbie zamkniętej od ognia i upału dnia gorąco się zrobiło.

Stary Wincz wstał z ławy na której siedział i poszedł do okna.

— Po tom cię wezwał — począł — abyś mi ludzi zbierał. Wszystką siłę jaką my mamy, powinowaci nasi, i przyjaciele zwoływać trzeba...

— Ojczaszku — przerwał Dobek — poczniemy my, opatrzą się drudzy... A nie wszyscy pójdą z nami, to pewna.

Dużo mamy druhów, ale i wrogów dosyć.

Wincz się uśmiechnął.

— Garść ich jest — rzekł. — Nie wołać ich, będą siedzieli po kątach... Naszych więcej. Nie darmo ja tu lat tyle gospodarzył i ludzi sobie jednał...

— Lecz jeśli zmiarkują, że przeciw królowi ich prowadzić masz? — zapytał Dobek.

Oni króla nie znają, bom ja tu im za niego był— wyrwał się stary — dość mi tego...

Wstał z ławy i chodzić począł.

Na chwilę rozmowa się przerwała, gdy w progu stanął Włostek, prawa ręka wojewody, pułkowódzca jego, mąż jak olbrzym z wąsami miotlastemi, w kaftanie skórzanym i pasie kutym, na którym miecz wisiał ogromny.

Wincz się ku niemu zawrócił.

— Ludzi swych pomieściłeś? — spytał.

— Po szopach śpią, warty stoją—rzekł Włostek— ale nie z tem przyszedłem. Ziemianin z Sieradzkiego jakiś od króla się do was opowiada. Tylko co przybył.

— Z pismem? — zapytał Wincz.

— Widzi mi się, że z gębą—rzekł Włostek.

— Dawaj go tu—zamruczał wojewoda powolnym krokiem idąc ku drzwiom.

Półkowódzca wyszedł śpiesznie i po chwili małej wprowadził zapowiedzianego posła.

Mężczyzna był lat średnich, prawy ziemianin a wojak, który się w miękkich pieluchach nie chował. Mąż jakby z dębu wyrzeźbiony, słuszny, barczysty, silny, twarz ni piękna ni brzydka a rozumna i mocy jakiej dusznej pełna.

Po chodzie i obrocie znać było, że się ani zatrwoży, ni zdziwi, ani da zbić z drogi. Wszedł tak pewien siebie, jakby nie przed wojewodą stawać miał, a do równego sobie w odwiedziny przybywał. Skłonił się mało, hełm zdjął i na ręku swym położył.

— Czołem, panie wojewodo...

— Zkąd Bóg prowadzi? — hamując głos zapytał Wincz.

— Od wojska królewskiego mnie wysłano do was — rzekł poseł.

— Król? — przemówił Wincz.

— Nie, panam nie widział, ino naszego wojewodę Sieradzkiego, bom ja Sieradzianin z nad Pilicy od Hebdy i Hebda mnie z rozkazu króla do was wyprawił.

Wojewoda nim się zapytał z czem, jakby mu nie pilno się było dowiedzieć, lub łatwo się domyślał o co szło, naprzód kubek miodu nalał i podał go gościowi.

— Po drodze się pokrzepcie — rzekł.

Wolnym krokiem przybyły ku stołowi podszedł, wąsy odgarnął, kubek ujął i miodu się napił.

II.

Znał Dobek dobrze stryja swojego i wiedział, że mimo gwałtowności, umiał w potrzebie i spokojnego udać i co wybuchało z niego w głąb' nazad zepchnąć, nie spodziewał się jednak aby tak nagła zmiana zajść w nim mogła. Twarz nawet tylko co namiętnością drgająca, wygładziła się jak jezioro w pogodę, ani zmarszczki na niej nie było; głos brzmiał jakby w duszy pokój panował.

Z gwałtownych ruchów przeszedł naraz do ociążałych jakichś i obojętnych. Przybyły też pewnie odgadnąć nie mógł, iż na chwilę przed tem burzył się wojewoda.

Nie pilno mu było nawet pytać o to z czem przyjechał.

— A jakież tam drogi? — rzekł zimno.

— Różne... — rzekł z równym spokojem poseł. — Deszcze już ulewne przechodziły gdzieniegdzie, to i wody jesienne poprzybierały...

— Rozkisło u was bardzo? — mówił Wincz.

— A no! u mnie nad Pilicą wody dość — rzekł gość — indziej drogi niezgorsze...

— Cóż? zbieracie się już? Wici były? pytał stary.

— Co żyło to się pozbiegało pod chorągwie — mówił ziemianin.—Niemabo rady, król chce raz skończyć z Niemcami.

Wojewoda się uśmiechnął.

— Z Krzyżakami — poprawił — a no! dobrzeby było raz ich precz zegnać i Pomorze odzyskać, ale bodajby nie było trudno...

— Przy Bożej pomocy—zamruczał z wielkim spokojem poseł.

— Z czemże was do mnie wyprawiono?—odezwał się nareszcie Wincz.

— Waszej miłości też do tego tańca proszą niezwłocznie — odezwał się wysłany, Król Pan nasz nakazuje aby co żyje na granicy postawić, bo Krzyżaków tylko co nie widać.

Wojewoda obojętnie uśmiechał się.

— Będzie ich słychać wprzódy niż widać—rzekł.— Głośno idą te niemcy, ho! ho!

Poseł nie zdawał się tem bynajmniej strwożony, gładził się po głowie, usta ściągał, nie ogarniał go strach żaden przed tą głośną potęgą.

— Daremno was do mnie gnano — odparł wojewoda — bom ja moją powinność znał i bez tego...

Bo ma być w swoim czasie przyjdzie...

— Spocznijcież u mnie—dodał.—A kto wam wskazał, że mnie w Pomorzanach najdziecie?

— Byłem ci w Poznaniu na zamku — odparł ziemianin — ztamtąd mnie za wami wyprawiono.

Wojewoda nie rzekł nic.

Namyślił się nieco i wskazał na ławę przybyłemu, aby siadł, sam też nieco opodal się usadowił.

— Jak was zowią? — zapytał.

— Florjan Szary jestem, z Surdęgi nad Pilicą — rzekł głosem spokojnym przybyły.

— A zawołanie wasze?

— Różnie nas wołają, a no i Koźlarogi — Odparł Florjan. Ziemianieśmy w Sieradczyźnie tak starzy jak ona...

— Sami też na wojnę idziecie? — szło dalej pytanie.

— Idę — mówił Szary — syna dorosłego niemam jeszcze, a ojciec stary już i na konia nie siędzie. Rad nie rad ludzi prowadzić muszę.

— Jak to, nie rad! ziemianin a rycerz zawsze wojnie rad być musi — rzekł wojewoda.

— I ja też—mówił z flegmą Szary—ale ojczysko stare rady sobie nie da z sąsiadem, a mam pod bokiem takiego... z piekła rodem...

Westchnął — rozśmiał się tej szczerości wojewoda. Ten ci też musi na wojnę! — dodał.

— Nie, nie pójdzie, pośle kogo za siebie, bo będzie teraz właśnie z ojcem moim i czeladzią wojował—mówił Szary—od czasu jak tam siadł, dnia jednego pokoju od niego nie mieliśmy.

Westchnął znowu.

— Dlatego człowiek coby wojnie dla króla był rad, nie może się nią cieszyć, bo mu swoja własna dolega...

Wincz patrzał uważnie na mówiącego, a że w głosie jego żal i smutek się przebijał — nie wyciągał go już więcej na słowo.

— Nalejcie sobie miodu — rzekł pół głosem.

Nie wymawiając się podróżny, poszedł do dzbanka, nachylił go, kubek napełnił i z nim powrócił na ławę.

— Wojna będzie sroga — począł wojewoda trochę pomyślawszy.—Królewskiemu wojsku nic zarzucić nie można, dobre ono jest... ale Niemcy w stal pookowywani, każdy z nich gdyby twierdza, choć do niego się nasi dostaną, nie wiedzieć zkąd go począć... od stóp do głowy żelazo... konie też zbrojne...

Prawda to — rzekł Szary, ale za to, gdy który z konia padnie, albo na ziemię się obali, nie podniesie się łatwo i toporami go można dobić. Nie ruszają się też w boju tak rączo, jak nasi...

— Ale za to murem stoją—rozśmiał się wojewoda. Toście pewnie słyszeli, że gdy w rząd się ustawią a chcą nieprzyjacielowi oprzeć się, łańcuchami jeden do drugiego, od pasa do pasa poczepiają i wszyscy jakby z jednej bryły!!

— Za to—rzekł Szary obojętnie—byle jeden padł muszą z nim też wszyscy leżeć...

— Rzadko to u nich bywa — odezwał się wojewoda.—Już co do tych spraw wojennych i oręża doskonałego, niewiem czy gdzie na świecie lepszy jest niż u Krzyżaków. Co roku do nich ciągną pielgrzymi nietylko z Niemiec całych, Francyi ale i z Anglii i — kto wie z jakich krajów?

Gdzie kto co wynalazł i zrobił, oni to pierwsi mają. Oręż od Saracenów, od Arabów, z Włoch i z Hiszpanii.

Powiadają nawet, że jakiś ogień piekielny, co go niedawno mnich w klasztorze gdzieś na niemcach zrobił, już od lat trzech mają u siebie...

— Jaki ogień?—zapytał Dobek ciekawie...

— Kto go wie co to takiego jest — począł wojewoda. — Tajemnicę z tego robią, jak ów ogień przyrządzać, ale straszny bardzo, bo go z rur żelaznych puszczają z wielkim hukiem, i leci daleko, a co napotka to pali i kamienie ciska...

Szary się przeżegnał pobożnie.

— Szatańska chyba moc, a mnichy jej duszę zaprzedawszy, kupili, rzekł. U nas o tem nie słychać dzięki Bogu.

— U nas nie słychać — odezwał się ironicznie wojewoda — to prawda, a oni trzy lata temu już ten ogień robić się nauczyli. Przyjdzie im oblegać twierdzę, rzucą tylko ogniste pociski i żeby najlepiej była obwarowana to ją zżegą.

— Ale na ludzi w boju przecie nie będą szatańską mocą ciskali? przerwał ziemianin.

— Dla czego? — rzekł wojewoda — albo oni nas za ludzi mają i pożałują, u nich co nie Niemiec to nie człowiek... Srogie bestyje! Szary westchnął, lecz miód popił i dodał tylko.

— Jak skoro moc szatańską mają, a nią się posługują, pan Bóg ich sam pobije jak Lucypera i zastępy jego.

Wojewoda z prostoduszności ziemianina uśmiechnął się nieco.

— Mnie się widzi — dorzucił — że nie z szatana oni to mają, kiedy krzyże na płaszczach noszą.

— Na płaszczach — rozśmiał się Dobek — ale nie w sercach.

Florjan Szary spojrzał ku niemu i uśmiechnął mu się.

Wojewoda tymczasem prawił dalej.

— Nie będzie nam z niemi łatwo wojować, bo choć nasz lud mężny, ale tej chytrości i rozumu co oni nie ma. Oni w sto włóczni na naszych tysiąc idą.

Milczeli słuchający.

— Nie dla tegoż serce mamy tracić? odezwał się Szary. Mądrzy oni ale i król pan nasz rozumny jest i wie jako z niemi poczynać, a Bóg łaskaw. Sprawa nasza dobra, swojej ziemi bronimy, oni cudzą rozdrapują.

Popił miodem Szary, obejrzał się, powoli z ławy wstał, kubek postawił, i skłonił się ku drzwiom zmierzając.

— Jaką mam odpowiedź zanieść panu Hebdzie? spytał od progu.

— Spieszno wam — wtrącił Wincz...

— Jutro muszę być w drodze — rzekł Szary... — Spoczywać nie czas.

Wojewoda postał trochę, dumając.

— Jedźcie z Bogiem — odezwał się — a wojewodzie powiedzcie, że ja co mi powinność moja każe, uczynię. Znajdą mnie gdzie potrzeba.

Tak dwuznacznie odprawiwszy poselstwo, kiwnął

głową wojewoda, ręką dał znak. Szary się trochę pokłonił i wysunął z izby.

Czas był do snu już dawno, Dobek też przeciągnął się, ziewnął i obejrzał za posłaniem.

— Mnie jeszcze sen nie bierze — rzekł rozstając się z nim wojewoda, a jutro pomówiemy z sobą, bo mi ludzi przyprowadzić musisz i godziny do stracenie niema.

Dobek już na wychodnem się wstrzymał. Spojrzał stryjowi w oczy, mówiąc wejrzeniem to, czego już nieśmiał powtórzyć słowy.

Zrozumiał wzrok Wincz i odwrócił się z uporem.

— Śpij spokojnie — rzekł ściskając go za rękę. — Żadna siła w świecie nie może mnie od tego odwieść com raz postanowił.

Dobek wyszedł.

Zaledwie się oddalił do izby, w której mu posłanie ludzie jego przygotowali, gdy wojewoda Włostka do siebie zawołać kazał.

Zbliżył się do niego znowu rozgorączkowany i niecierpliwy.

— Ślij mi po ludzi—rzekł—śpieszyć... Już mnie posłami gnają aż tu. Niech pułki wszystkie i co naszego rycerstwa jest, do mnie przybywa. Im więcej nas będzie tem lepiej.

Zbierać a wici słać naglące, pod gardłem, pod sromotą, do ostatniego człeka... potrzebuję ludzi wielu.

Mówił tak przerywanym głosek, a Włostek, proste niby człeczysko tak mu w oczy patrzał, jakby jego myśl odgadywał.

Było to spojrzenie starego sługi, albo zwierzęcia wiernego co się z człowiekiem zżywszy, czyta mu w oczach i niewypowiedziane wyrywa z głębi duszy.

Pocichu rzekł Włostek.

— Nie już tak pilno królowi służyć, kiedy on nas...

Nie dokończył; wojewoda tylko nań spojrzał, i po ramieniu go uderzył.

— Ludzi trzeba — rzekł porywczo — a co potem, mnie wiedzieć... Idź — a spraw się.

W drugiej izbie zgotowane było posłanie dla Wincza, nie na łożu bo go tam brakło, ani na tapczanie bo i tego nie było we dworze, ale obozowe na ziemi, skórami pokryte.

Podszedł Wincz ku niemu, popatrzał, lecz układać się do snu nie miał ochoty.

Pacholę go rozebrało do siwego kaftana, siadł w nim dumać na ławie...

We dworze ucichło — spali wszyscy, wojewoda na komin polan dorzucać kazał, sen go nie brał. W duszy jego całe życie przechodziło płomieniami i czernią, wspomnieniami jasnemi i smutnemi. Stał jakby w progu nowego, a na stare się oglądał. Żal serce ściskał chwilami, to gniew brał górę, duma nim rzucała, wszystko zasłaniając sobą. Zemsty pragnął...

Tak długa noc posępna, cicho upłynęła cała w pół śnie, pół burzy tej dusznej, która czasu obliczyć nie dała. Zaczęło już szarzeć na dzień i ogień wygasał, gdy wojewoda jak siedział u stołu wsparty na ręku usnął.

Otwarłszy oczy zaledwie mógł im uwierzyć.

W pół mroku stała przed nim postać niewieścia, w długich szatach podróżnych, w białej zawitce dokoła twarzy i pod brodą, w czapce na głowie z chustą białą w ręku. Stała i ręce złożywszy zwisłe patrzała nań z politowaniem i przestrachem razem.

Twarz, którą biały rąbek otulał, piękna niegdyś, była jeszcze urodziwą, szlachetną, a słodyczy pełną, razem i męztwa nie niewieściego. Wielkie czarne oczy w oprawie powiek zarysowanych wdzięcznie, patrzały łzawo ale śmiało, i brwi nad niemi ciemne jakiś ból ściskał. Wyraz jego piętnował i usta małe a zbladłe.

Panią i matronę poznawać w niej było łatwo, która choć niewiastą, więc ledwie na pół wolną się czuła, zachowała powagę i wiarę w moc swoją.

Patrzała tak na śpiącego jakby stała nad kolebką chorego dziecka, zrozpaczona i mężna, ufająca w Bogu.

Wojewoda podniósł głowę, oczy przetarł, obejrzał się do koła, jakby nie wierzył im i potrzebował przypomnieć sobie kędy się znajduje. Ona wciąż milcząc wpatrywała się jeszcze, a potem rzuciwszy nagle z wybuchem płaczu i jęku zawiesiła mu się na szyi.

— Halka? co ty tu? — zamruczał poruszając się Wincz... — Halka?! tutaj?...

— Tak, tutaj aż zbiegłam za tobą, odezwała się niewiasta głosem dźwięcznym a pewnym—tak, musiałam dogonić ciebie, bo wiem, czuję co się w duszy twej dzieje... Winczu mój!

Głos jej zmiękł i wpłacz się znowu przemienił.

Wojewoda zlekka odtrącił ją od siebie.

— Babskie trwogi dziecinne—rzekł pomięszany— cóż się ma dziać? Nic się nie stało, i nic...

— Winczu mój, panie mój, w twojej duszy stała się okropna sprawa... poczęła Halka. Nie mówiłeś mi nic, alem nie daremnie żyła z tobą lat tyle, i umiem odgadywać nawet to co jutro myśleć będziesz.

Odstąpiła na krok i załamała ręce.

— Panie mój—nie! to się nie stanie. Lepiej być męczennikiem niż katem i zdrajcą!!

Ostatni wyraz posłyszawszy wojewoda jak piorunem ciśnięty rzucił się z ławy, wyprostował, głowę odrzucił na ramiona.

— Mnie zdradzili — krzyknął — ząb za ząb. Nie zdrada to będzie, ale spłata długu... Nie byłbym mężem, gdybym ścierpiał sromotę nie zmazawszy jej krwią. Usta Halki otwarły się, jakby mówić coś chciała.

— Milcz! milcz! — zawołał wojewoda, którego twarz straszliwym wyrazem się zmieniła. Tyś niewiasta, ty nie rozumiesz tego, nie twoja rzecz. Strzeż swej czci, ale mojej straż zostaw mnie...

Ruszył się, jakby iść chciał, niewiasta mu drogę zastępowała.

— Zgadłam więc! — zawołała podnosząc ręce — panie mój! jeszcze czas...

Z gwałtownego oburzenia i gniewu, Wincz przeszedł nagle w jakieś urąganie i szyderstwo, z którem mu łatwiej może było żonie dostać placu.

— Dość! dość! Wiesz, że się nikomu mięszać w moje sprawy nie daję... Długie włosy macie, czeszcie je, aby pięknie świeciły, to wasza rzecz! Dać mi! pokój!... Dać mi pokój!...

— Żoną jestem twoją—odparła mężnie Halka. — Nie mięszam się do niczego, lecz gdy o cześć i sumienie chodzi, ubij mnie... Wojewoda ruszył ramionami.

— Ubić nie ubiję — rzekł szydersko — lecz na koń lub na wóz wsadzić każę i odprawię, abyś mi nie rozbijała głowy. Świdwowie się nigdy babom wodzić nie dawali, ani ja pozwolę...

Namarszczył się groźno, lecz żona stała nieustraszona.

Łzy biegły po jej twarzy, nie wiedziała, co mówić miała, słów jej nie stało, padła na kolana, wojewoda się rozgniewał i krzyknął; lecz widząc ją omdlewającą na poły, schylił się, podniósł w milczeniu i na łożu swem, które stało nietknięte, położył.

Dwie towarzyszki, które za drzwiami czekały, wsunęły się natychmiast niespokojne o panią, a wojewoda, korzystając z tego, wyśliznął się z sypialni, przeszedł wielką izbę pierwszą i nie zatrzymał, aż w podsieni u słupów. Tu już był Dobek, który wstał raniej. Nie powitali się nawet. Wojewoda był gniewny i wzruszony.

Zwrócił się do niego.

— Nie masz tu już co dłużej gościć — rzekł — wiesz czego żądam... Jedź.

Dobek popatrzył mu w oczy.

— Jam głową domu, jam wojewodą waszym, nie zrzucili mnie jeszcze... posłuchu żądam, posłuch mieć muszę. Nie proszę o radę nikogo. Jedź—a śpiesz.

Dobek tak go widział poruszonym, iż długo przemówić nie mógł.

— Do dziś dnia — odezwał się w końcu — byłem gałęzi mej Nałęczowego zawołania głową, ale od dziś nie chcę być więcej. Stawcie na miejsce moje innego, ja tam gdzie wy, nie pójdę.

Wincz natarł nań groźno.

— Wiesz-że ty dokąd ja idę? — zawołał.

— Wiem — rzekł Dobek stanowczo — i dlatego z wami iść nie chcę.

Zwrócił się wołając na swych ludzi. Wczoraj łagodny i miękki, Dobek dziś występował męzko i śmiało, wojewoda zamruczał tylko i podniósłszy głos:

— Bez jednego człeka obejść się łatwo—zawołał, śmiejąc się złośliwie.—Z Panem Bogiem! Pamiętajcie tylko, że ja, choćby mi wielkie rządy odjąć chciano, rychlej tu rozkazywać będę niż kto inny.

Dobek ze spuszczoną głową, nie chcąc sporu przedłużać, z bólem wypowiedziawszy co miał na sercu, stał milczący. Rękami tylko dawał swym ludziom w dziedzińcu znaki, ażeby mu konie co rychlej prowadzono.

Czeladź biegała, siodłając i wędzidła nakładając, bo konie dopiero u wodopoju były. Przeciągnął się więc wyjazd, na który Dobek, zżymając się i niecierpliwiąc, czekał.

Wincz, który stał długo w nadziei, że z synowcem na nowo rozmowę zawiąże, w końcu widząc go odwróconym w stronę i umyślnie milczącym, odszedł gniewny.

Miał już siadać na podprowadzonego mu konia, młodszy Nałęcz, gdy za płotem ukazali się jezdni

i w podwórzec wpadł kłusem zbrojny mąż, od Dobka młodszy, z oczyma bystremi, żywy, wesół, lecz coś obce pochodzenie i obyczaj zdradzającego mający w sobie. Strój jego i uzbrojenie było mniej więcej takie, jak naówczas nosili wszyscy ci, co do zamożniejszego liczyli się rycerstwa.

Polska nie odróżniała się wielce od narodów zachodu powierzchownością w wyższych społeczeństwa klasach. Wojsko było mniej dobrze uzbrojone, ubożsi ziemianie nosili się ze staroświecka i podług dawnego obyczaju; ale na dworach królów i książąt, mających stosunki częste z Europą, strój i zbroja, pochodzenia francuzkiego, włoskiego, niemieckiego przeważały. Duchowieństwo, które dawniej jeździło do Rzymu często, teraz do Awinjonu, rycerstwo, które także chętnie się zaciągało za granicą dla poznania świata, kupcy dla zysku przywozili sprzęt, oręż, sukna flamandzkie, hollenderskie tkaniny, klejnoty, broń i t. p.

Na wojnie ziemianie bogatsi zbroje nosili takie, w jakie niemcy i francuzi opatrzeni byli.

Przybywający wyglądał jeżeli nie z cudzoziemska, to na wzór obcych w stal okuty, i suknie miał wykwintnie szyte, o które dbać się zdawał. Koń też jego miał drucianą siatkę na sobie i rozmaite świecące blaszki na rzędzie.

Mężczyzna lat około trzydziestu, pięknej twarzy, ciemnowłosy, zręczny, zatoczył koniem przed dworzec jakby dla popisu, i choć dużo miał blach na sobie, lekko skoczył z siodła, konia pacholikowi tarczowemu oddając.

W chwili, gdy Dobek spozierał ku niemu, ozzy się ich spotkały... Znajomi musieli być, bo przyjezdny chciał go witać i posunął się już ku niemu, gdy Dobek głową mu skinąwszy tylko, szybko podanego wierzchowca dosiadł — i od podsieni ruszył...

Przybyły stanął, nieco tem zdziwiony, gdy Wincz, który musiał go zobaczyć, wyszedł na spotkanie

Ujrzawszy gospodarza, rycerz zwrócił się zaraz ku niemu i powitał go z poszanowaniem wielkiem.

Zamienili wejrzenie jakby się porozumiewali, wojewoda wprowadził go do dworu, lecz nie do izby, blizko której żonę zostawił, ale do głębszej komnaty na tyłach, tak pustej jak całe to domostwo.

Przybyły ów gość osiadłym był od dziada w Wielkiej Polsce i liczył się już do tutejszych ziemian, chociaż krwią do nich nie należał. Ojciec jego na dwór króla Przemka sprowadzony z Niemiec dla biegłości w sztuce turniejów i różnych rycerskich ćwiczeniach, zasłużywszy się panu, otrzymał od niego posiadłości znaczne, ziemię i lasy, tu się z córką ubogiego ziemianina ożenił i nazwisko nawet swe niemieckie von Kopfen zmienił na Kopę... Syn jego Petrek na pół był niemcem dla ojca, pół polakiem dla matki, więcej go jednak pono ciągnęło serce nad Ren, zkąd pochodził, niż nad Wartę i Wisłę.

Za młodu stary oddawał go na służbę rycerską do wojsk cesarskich, Petrek włóczył się z niemi po Włoszech, napatrzył świata i nabrał smaku do obczyzny. Gdy powrócił, nic mu w domu nie smakowało, tęsknił za niemcami i za życiem zachodniem. Wszystko mu w domu się barbarzyńskiem wydawało: wyśmiewał się z ludzi i obyczaju...

Lecz, ziemie jakie po ojcu wziął trzymały go tu; a że z ziemiany prostakami żyć nie lubiał, najwięcej po dworach różnych przesiadywał. Nim królewicz Kaźmierz przybył do Poznania, wieszał się u dworu wojewody poznańskiego Wincza Świdwy z Pomorzan i Szamotuł. Lubił go on, bo wesołemi rozmowy i śpiewkami, wedle obyczaju niemieckiego i opowiadaniem o podróżach swych go zabawiał.

Petrek, choć go pan wojewoda stale do siebie chciał przywiązać, nie dał się skusić żadną dostojnością. Siadywał u niego po dobrej woli, a podczas znikał i mówiono różnie o nim: jedni utrzymywali,

że za granicę jeździwał i po dworach niemieckich się zabawiał, drudzy, że z Krzyżakami wyprawy przeciwko Litwie, jako gość odbywał, on sam powiadał, że doma siedział.

Do stosunków z zakonem niemieckim, z powodu, że się on srodze z królem Łokietkiem zadzierał, niebezpiecznie przyznawać się było.

Jak wszyscy tacy ludzie, co raz błędnego życia zakosztowali i miejsca zagrzać nie lubią, Petrek płochy był, bawić się i śmiać lubił, szukał wesołego towarzystwa, wypraw awanturniczych, towarzyszów coraz nowych. Na męztwie mu nie zbywało, lecz więcej miał jeszcze wprawy i zręczności niż siły; a sprytu i wymowy niż rozumu i powagi.

Gdy z wojewodą razem weszli do pustej izby, a wojewoda się obejrzał w koło, jakby upewnić chciał, że ich nikt nie podsłucha; Petrek hełm już zdjął i pasa począł sobie zwalniać... Zbliżyli się do siebie, tak aby po cichu rozmawiać mogli.

— Dotarłżeś aż do gniazda?—zapytał Wincz.

Z uśmiechem zwycięzkim głową naprzód Petrek dał znak potakujący.

— Panie wojewodo—rzekł wesołym głosem z przechwałką butną — znacie sługę waszego, że co zamierza zawsze dopiąć musi, choćby karku nastawić przyszło! I tym razem, prawdę mówiąc, w chwili, gdy już wojna wypowiedziana, gdy oni idą na nas, dostać się do wielkiego mistrza nie było łatwo.

— Sam-li on dowodzić będzie! — zapytał ciekawie wojewoda.

— Myślę, że nie — odparł Petrek. — Poprowadzi może swoich do Torunia, a wyprawą dowodzić będzie marszałek.

— Widzieliście jego samego! — począł badać wojewoda.

— Tak, jako was widzę w tej chwili! — śmiejąc się, odparł Petrek... Widziałem go i mówiłem z nim, bo takiej sprawy, ani nawet wielkiemu komturowi,

ani marszałkowi poruczać nie mogłem. Musiałem z samym Luderem mówić i to na cztery oczy... Do Bromberga aż musiałem, aby go pochwycić.

Wojewoda słuchał widocznie z zajęciem wielkiem, dech wstrzymywał, oczy mu się zaiskrzyły.

Petrek, jakby tej niecierpliwości dowiedzenia się skutku nie rozumiał, mówił, przechwalając się, obojętnie.

— Przyjęli mnie bardzo dobrze, jak starego znajomego i towarzysza broni. W Toruniu musiałem z niemi pić całą noc... Ochota okrutna, bo się na tę wyprawę z wielkiem sercem gotują, a dali sobie hasło w pień ciąć co napadną i palić, żeby jedna chata ni budynek po nich nie pozostał...

Mówią, że korzystać chcą z tego, iż króla Jana z sobą nie będą mieć w początku wyprawy, bo Czech im ludzi wyrzynać nie dawał a chrzcić kazał, czego mu darować nie mogą.

— Ale cóż mistrz? co mistrz? — przerwał wojewoda.

— Mistrz też mnie przyjął dobrze i zaraz do rozmowy dopuścił — mówił Petrek — choć gości dostojnych miał z Anglji i Niemiec, których przyjmować musiał.

— Cóż rzekł? co? — wtrącił Wincz — mów, a nie trzymaj mnie na wolnym ogniu.

— Zdawał się radować postanowieniu waszemu— odezwał się Petrek — ale cóż? ogólnemi słowy tylko się ze mną o tem rozgadał, wciąż powtarzając jedno:

— Sam z wojewodą o tem muszę się układać.

Chce abyście do niego przybyli.

— Mówiliście mu warunki moje!—pytał Wincz.

— Juściż to było najpierwszem — rzekł Petrek — iż chcecie i domagacie się, aby waszego kraju nie napastowali i nie niszczyli, a uważali go jako sprzymierzony. Na to mi rzekł kwaśno mistrz, iż do arcybiskupa Gnieźnieńskiego żal ma i na nim się

mścić musi, ani mu może darować, choć na tej ziemi siedzi.

Nachmurzył się wojewoda.

— Ciągną już! gdzie są! — zawołał...

— Myślę, że koło Torunia się zbiorą wszyscy, i mistrza tam też zastaniecie, ale prędko potrzeba iść, aby was wyprzedzając, nie rozlali się na Wielką Polskę...

Wojewoda na ławę przysiadłszy, zadumał się.

— Pojedziecie ze mną — rzekł po namyśle.

— Rozumie się, że nie odstąpię was — prędko dorzucił Petrek. — Nie pochlebiając sobie, trudno by też było bezemnie, który wszystkie drogi i przesmyki znam i rozmówić się z nimi umiem, dostać się z całą głową do Krzyżaków.

Wojewoda wstał, popatrzył na podłogę, podumał.

— Cicho — rzekł — cicho! zapowiedzą się łowy na jutro, pojedziemy w lasy, wy ze mną, i do Torunia! Nie może już inaczej być. Chcieli tego... zmusili mnie. Nie mogę inaczej... Sromu nie zniosę — lepiej śmierć.

Chciał król... chciał... stanie się.

Westchnął ciężko wojewoda.

Tłumaczył się jakby z potrzeby przed samym sobą i powtórzył razy kilka jeszcze półgłosem.

— Chciał król! zmusił mnie... Nie może już inaczej być — nie może...

III.

Twierdza i osada krzyżacka w Toruniu, przed stu laty już, na prędce naówczas sklecona pod strachem takim, że budujący ją czółna gotowe do ucieczki trzymać musieli, napaści Prusaków obawiając się — miała czas rozrosnąć się, wybujać, umocnić w rękach zakonu.

Teraz było to okazałe i silne zamczysko, gród murami, basztami i samą rzeką, a wałami i przekopy broniony. Z dala już ściany jego, wspaniale się okazywały, świadcząc jak ci co tu niegdyś z małą garścią przyciągnęli na cudzą ziemię — silnie w nią już wrośli i w potęgę się wzbili.

Minęły dawno te czasy gdy za lichym wałem i naprędce wbitemi ostrokołami pierwsza gromadka rycerzy niemieckich przyszła tu na prawym brzegu rzeki stawiąc kroki nieśmiałe, co ją tak daleko zaprowadzić miały.

W przeciągu wieku Toruń ciągle się rozpościerając, krzepiąc ciągle nowemi osadnikami zaludniając, walczył teraz niemal z Malborgiem o lepszę.

W murach było się gdzie i większej sile rycerzy pomieścić, a znaczne zapasy oręża i żywności, w wielkich gmachach były nagromadzone. Żaden rok nie minął by się tu z czerwonej cegły misternie budowane domostwo jakie nie podniosło ku górze.

Krzyżacy w częstych wycieczkach swoich tu mieli miejsce zborne, i ztąd wyciągali w różne strony. Z pewną czcią byli dla tego jednego z najpierwszych gniazd swoich, pełnego pamiątek.

Tu teraz mistrz Luder książe Brunświcki, z tego domu który trzech swoich członków oddał na posługi zakonu — doprowadził wojsko, które na Polskę, gra-

bież i pożogę Łoktkowych włości przeznaczonem było.

Sama głowa rycerskiego tego stowarzyszenia, wiodła starszyznę i gości na brzeg Wisły, zdać tu mając dowództwo marszałkowi i komturowi wielkiemu. Dziwiono się trochę temu iż wielki mistrz, który zawczasu oświadczył iż sam wyprawą dowodzić nie może, chciał ją aż do Torunia wieść, choć ważne sprawy powoływały go do Malborga.

Mistrz Luder, który po Orselenie, zabitym zdradziecko, nastąpił, miał wielkie zadanie na barkach swoich. Krzyżacy, którym od przesiedlenia się na tą ziemię podarowaną im dla dalszych na poganach zdobyczy — wiodło się ze szczęściem szczególnem, choć je słabości i nieopatrzności tych zawdzięczali co ich na pomoc wezwali; Krzyżacy od przybycia swojego tu z surową regułą zakonną; — samym trybem życia wojennego z niej się wyłamywać poczęli.

Dawne owe prawa, króre ich pół-mnichami czyniły, zapomniane zostały i lekceważone. Napływ rycerskich awanturników z całej Europy, przynosił tu z sobą wcale nie mnisze obyczaje. Wyprawy na pogan dzikiemi jak oni czyniły ludzi. Nie szanowano w nich nic, ani też siebie. Zakonnik codzień na śmierć się narażając, gdy tylko mógł, z życia chwili każdej korzystał.

Zamiast modlitw brzmiały śpiewy wesołe i piosnki miłosne u stołów, nie mierzono wina, nie wzbraniano kosztownych łańcuchów, mnich co nie powinien był mieć żadnej własności, bo nawet suknia, którą nosił, mogła mu być odjętą, łupił czasu wojny i łupu nie oddawał do ogólnej skarbnicy. Rozpusta, samowola, zbytki się zagościły.

Przyszło do tego, że jeden obrażony rycerz, którego przeszły mistrz na wyprawę wziąć nie chciał, mściwą ręką go ubił.

Po zabitym Orselenie wybrano mistrzem Ludera, który swym tytułem książęcym i związkami wrażał

powagę, a był mężem energicznym i rozumnym — ażeby dawną karność przywrócił w zakonie.

Zadanie to było ciężkie, nad którem musiał on, nie odstępując na krok stolicy, czuwać aby je w najmniejszych spełniać szczegółach.

Był Luder już od lat kilkudziesięciu krzyżackim płaszczem przyodziany, bo go bardzo za młodu oddano zakonowi, — pół wieku niemal dzieląc losy jego wtajemniczonym był najlepiej w to życie wewnętrzne, którego znał wszystkie sprężyny. Mężny żołnierz, ale zarazem pobożny pan, człowiek wykształcony, poeta po troszę; Luder szanowanym był przez współbraci i gdy do wyboru przyszło postawiono go na czele, bo on najlepiej wyrywających się z posłuszeństwa i z pod prawa, utrzymać w nich umiał.

Siwiejący już czynnego ciągle życia, wojak, myśliwy, Luder, mimo wieku był jeszcze mężem wielkiej siły, powagi i rzeźwości do pracy. Choć starszyźnie krzyżackiej, która się teraz białemi płaszczami odznaczała, uboższych braci strojąc szaro nie zbywało na mężach rycerskiej postawy, i warunkiem niemal przyjęcia do zakonu była siła fizyczna;—Mistrz Luder stanąwszy wśród swoich, pół głową ich przerastał, a zbroi jego bez kilku kaftanów pod spód podłożonych, żadenby z braci nie wdział na siebie.

Twarz też miał jakby do rozkazywania stworzoną—oczyma, brwiami, wyrazem samym rozkazującą.

Mówił mało, lecz gdy co rzekł, spierać się z nim nie było można. Wydawał wyroki i nieodwoływał ich nigdy.

Od śmierci Orselna, którego w chwili napaści na progu własnego mieszkania bronić nie było komu, postanowiono by dwu rycerzy nie odstępnie, wszędzie mistrzowi towarzyszyli. Wybrał sobie na kompanów tych Luder, Konrada von Gartau i Ottona Dobner'a.

Właśnie z niemi razem zajmował izby, które dlań na zamku toruńskim przeznaczone były—gdy Dobner,

który się był u drzwi nieco zatrzymał, szepnął mu, iż tu już nań oczekiwano.

Mistrz ledwie był z konia zsiadł, i należał mu spoczynek, bo część nocy spędził w drodze, lecz posłyszawszy imie, które Dobner mu szepnął—wnet dał rozkaz aby przybyłych do sąsiedniej izby wprowadzono.

W Toruniu jak w Malborgu na zamku z dwojga komnat rodzajów składały się mieszkania. Wielkie i bardzo przestronne sale służyły dla zgromadzeń zakonnych i gościnnych stołów, do których często po sto i więcej osób zasiadało. Izby w których pojedyńczy zakonnicy, nie wyjmując mistrza, komtura i dostojników, przemieszkiwali— były ciasne, małe, a dla samego ogrzewania łatwiejszego kominami — nie bardzo przestronne. Były to niemal cele klasztorne.

I ta, w której Luder się przyodziewał nie większą była od innych, lecz obok mała jadalnia, kilkanaście osób mogła pomieścić. Widok z niej przez okno duże, na Wisłę i przeciwne jej brzegi wychodził.

Tu w przeciwnym kącie, na ławie ze spuszczoną głową siedział stary mężczyzna — w stroju po którym stan jego rozpoznać było trudno. Można było sądzić, iż się umyślnie przebrał tak aby go nie poznano. Szare suknie ale z sukna przedniego niemiały nic coby je odznaczać i oko mogło zwrócić na nie. Miecz krótki a szeroki w pochwach czarnych także się nie świecił ozdobami. Mimo to coś w tym człowieku znamionowało nawykłego do rozkazywania raczej niż posłuszeństwa.

Siedział i czekał, a samo oczekiwanie już krew w nim burzyło, patrzał na drzwi, poruszał się niespokojnie, jak gdyby obrażało go to, że nie pospieszono prędzej przeciwko niemu. Był to wojewoda i wielkorządca poznański Wincz z Pomorzan... On! u Krzyżaków, on oczekujący na mistrza, u drzwi jego... w ręku wrogów i ich mocy!!

W duszy powtarzał to sobie szydersko, z goryczą,

jakby sam niewierząc temu co z nim uczyniły losy.

Na towarzyszu jego Petrku Kopie, pobyt na zamku toruńskim tak wielkiego nie czynił wrażenia. Chodził on z wesołą twarzą po izbie, oknem wyglądał, i wspaniałością gmachów, w których się znajdował z przyjemnością napawać się zdawał... Na twarzy igrał uśmiech jakby rad był, że wielką sprawę szczęśliwie doprowadził do końca.

Wincz milczał i wzdychał. Potrzebował ciągle przypominać sobie co go spotkało, aby wytłumaczyć co czynił i zagłuszyć sumienie.

Po chwili wyczekiwania, która mu się nad miarę długą wydawała, otwarły się wreście drzwi, i mistrz Luder w białej sukni, bez miecza, odziany po domowemu wszedł sam, zamykając je natychmiast za sobą.

Wojewoda wstał nie śpiesząc, powoli i mierzonemi krokami począł zbliżać się ko niemu.

Oba oni, nie znając się wcale, naprzód oczyma ciekawemi mierzyli, siły swe oceniając.

Wincz Świdwa tak miał pańską postawę jak Luder,—oba niemal się czuli równemi dumą. Mistrz czuł że człowieka tego musi oszczędzać i łagodzić—Wincz zrozumiał, iż pod płaszczem zakonnika stał przed nim książe niemiecki...

Skłonili się sobie głowami, lecz Luder ręki nie wyciągnął.

Usłużny Petrek żwawo po niemiecku zaczął wojewodę polecać, ułatwiając rozmowę, która łamanym językiem dla obu nie łatwą być miała.

Od pół wieku tu już siedząc, książe się języków różnych uczył po trochę, lecz żadnym nie mówił dobrze, mając je jako barbarzyńskie w pogardzie. Pruskim z musu i dla stosunków z ludem, mówił najlepiej; Swidwa zaś oprócz polskiego mało co niemieckiego tylko rozumiał.

Petrek Kopa stał się jako tłumacz i pomocnik

niezbędnym, i tak ta rozmowa, która powinna była być tajemną i poufną, bez świadka się nie obeszła.

To ją czyniło nad wyraz trudną i przykrą dla wojewody.

W pierwszej chwili ledwie srom swój mógł przemódz, zabełkotał coś niewyraźnie i łzy mu z oczów trysnęły.

Skarzył się na upokorzenie jakiego doznał do króla, a tu on sam z dobrej woli na stokroć się boleśniejsze narazić musiał. Przybrał tem dumniejszą postawę im boleśniej czuł się dotkniętym...

Luder zdawał się rozumieć co się w duszy tego człowieka działo, i chciał litościwym i łagodnym się okazać.

Po krótkiej walce z sobą, wybuchnął wojewoda niezważając ani na to czy zrozumianym będzie, i czy usłużny tłumacz za słowami jego wydąży.

— Widzicie mnie przychodzącego do was, mówił gorączkowo, bo panu temu któremu do siwego służyłem włosa dłużej nie chcę i nie mogę... Stała mi się krzywda... chcę pomsty... kraj którym rządziłem lat tyle, który mu dałem i utrzymałem, jest mój do dziś dnia, pójdzie za mną. Przyprowadzę wam wojsko w posiłek, i nielada ludzi, ale takich co najlepiej znają tę ziemię... a ja ją znam najlepiej nieprzyjaciela, z którym walczyć macie...

Mistrz słuchał zaledwie lekkiem głowy poruszeniem, dając poznać, że rozumie. Wojewoda wybuchał wciąż z gorączką wielką, mistrz jakby od niej ostygał, stawał się zimniejszym coraz.

Nie odpowiedział ni słowa...

To jątrzyło wojewodę, który powtarzać się począł z narzekaniami i gniewy, z wysławianiem siebie...

W zamian Krzyżacki pan nie spieszył z żadną ze swej strony ofiarą — wojewoda zmuszonym był przez tłumacza zażądać warunków dla siebie.

— Spodziewam się — rzekł — iż ocenicie usługę jaką wam oddaję osobą moją i ludzmi. Pragnę abym

się przy tej ziemi, którą wam jako sprzymierzeniec oddaję pod opiekę, utrzymał panem zwierzchnim. Nietylko ją pozyskacie, ale pozbędziecie się króla i jego do Pomorza pretensyi...

Mam więc prawo domagać się...

Mistrz niedokończoną mowę przerwał zwolna cedzonemi wyrazy, po niemiecku mówiąc dla Petrka, a patrząc chłodno i z góry na wojewodę.

— Zakon niewdzięcznym nie jest... Skoro usługa się okaże wielką, nagrodę da słuszną... Ale potrzebuje naprzód mieć to co mu obiecujecie, a potem oceni i zawdzięczy...

— Chcecie więc bym się zdał na łaskę lub niełaskę?—zawołał wojewoda.—Ja tu czuję się równym wam, i jako z równemi mówić przychodzę. Przymierze przynoszę, mówmy o warunkach.

Mistrz spokojnie się uśmiechnął.

— Mylicie się, panie Palatynie, rzekł do Petrka. Jak skoro już tu jesteście i krok ten uczyniliście, na łaskę i niełaskę zakonu zdaliście się dobrowolnie. Lecz wspaniałomyślny zakon rycerzy Grobu Pańskiego i sług Maryi, nie zechce korzystać z tej mocy, jaką mu daje nad wami nieszczęście wasze.

Spokojni bądźcie.

Wojewoda postrzegł dopiero teraz może, jak daleko zaszedł i jak zwrót był niepodobnym.

W istocie był na łasce lub niełasce zakonu, w rękach jego, nie wolnym sprzymierzeńcem, ale przymusowym sługą. Zemsta czyniła go niewolnikiem—westchnął boleśnie. Mistrz uznał właściwem ranę złagodzić i wyrzekł kilka słów pochlebnych.

— Nie trwożcie się —począł — byśmy posługi waszej nie umieli ocenić. Jest ona dla nas przydatną i nie zaprzemy jej.

Poczem natychmiast spytał jeszcze Petrka, ilu mu ludzi przyprowadzić może wojewoda; jak zbrojnych i kiedy się z niemi stawić może.

Rozmowa z namiętnej stawała się chłodniejszą i rachunkową.

Lecz niepodobieństwem było wojewodzie ściśle siły zbierające się oznaczyć. Obiecywał do tysiąca rycerstwa dobrze zbrojnego, a kilkakroć tyle ludu pospolitego, który ono prowadzić miało.

Mistrz chłodno uczynił uwagę, że najlepiej zbrojny Polak z niemieckim rycerzem na równi stanąć nie mógł i dodał, że ludu też nie wiele ceni, chyba dla straży przy łupach i zdobyczy.

Zniżał tym sposobem szacunek ofiary, jak gdyby chciał razem i nagrody niemieckie uszczuplić.

Dotknęło to wojewodę, zżymnął się srodze.

— Prawda jest — rzekł — że nasze rycerstwo tyle żelaza na sobie nie nosi, lecz się łacniej za to obraca, a czasu boju gdy się na stronę, w której posiłków potrzeba przerzucić może, wielkie usługi oddać potrafi.

Luder nie chciał temu zaprzeczać, głową tylko potwierdził co słyszał. Rzekł potem zaraz, że mu pilno było, i że posiłków tych oczekiwać długo nie może, wszystko już mając do wyprawy pogotowiu.

Wojewoda odparł opryskliwie i niechętnie, że gońców rozesłał i że w dni kilka przyciągnąć może.

Mistrz na dni kilka wyraził zgodę. Tak na mały czas wyczerpana pozornie przerwała się rozmowa... Spozierali na siebie, lecz trudno było zrozumieć iż wojewoda miał wiele na sercu, z czego się nie wyspowiadał, co chciał obwarować i wypowiedzieć.

Luder też cierpliwie czekał.

Szepnął Wincz Petrkowi już prędko mówiąc, aby zawarował u Mistrza, że ziemi tej, z której on żołnierza przyprowadzi niszczyć i najeżdżać nie będzie...

Nastąpiło długie milczenie, stał mistrz zadumany, niepewny, obrachowując co miał powiedzieć, nie śpiesząc z obietnicą żadną.

— Znacie co to wojna — rzekł w końcu. — Gdy się wyciąga w pole, wie wódz dokąd prowadzi, a jak

daleko zajdzie i gdzie mu zboczyć przyjdzie, pewnym nie jest nigdy. Próżną tu więc byłaby obietnica, której dotrzymać nie jest w ludzkiej mocy.

Zechcemy ziemię waszą i posiadłości szanować, jak posiłkującemu należy, lecz za los wojny któż zaręczy?

Poruszył ramionami.

Wincz wlepił w niego oczy, i nic wyczytać nie mógł w wejrzeniu oprócz chłodu i pewności siebie a tej wyższości z jaką mistrz to mu dawał co chciał, do niczego się nie widząc zmuszonym.

Wojewoda drgnął — zbladł, ale uczucie upadku swojego, który poczuł ukrył, bo się go sromał. Gorycz tę połknąć musiał i strawić w sobie.

Siwa głowa opadła na piersi. Tak więc oddawał całego siebie, życie, cześć, wierność swą, niepodległość do jakiej nawykł, a w zamian zyskiwał tylko jedno — spragnionej zemsty nasycenie.

Krew której się miał napić winna mu była starczyć za wszystko...

Uśmiechnął się do siebie sam.

— Zemstę, zemstę będę miał—pomyślał—choć ją okupię drogo...

Mistrz Luder, który już rozmowę za skończoną uważał, a był z niej i z siebie rad, z rozjaśnionem czołem przystąpił bliżej do wojewody i tonem łagodnym, poufalszym przez Petrka go rozpytywać zaczął, troskliwie niby — czy rodzinę swą uprowadził, czy bezpiecznym był od króla i królewicza, że zawczasu myśli jego nieodgadną.

Na to wojewoda mrukliwie, krótko, niebardzo chętnie, pół słowy tylko dał odpowiedź zbywającą.

Oświadczył zarazem, iż długo tu zabawić nie może i widzianymby być nie chciał, zatem upewniwszy się o miejsce, na które się ma stawić, natychmiast mistrza pożegnać musi.

Chciał potem wznowić mowę o tem co uparcie przymierzem nazywał, lecz Luder powtórnie zbył go

słowy ogólnemi, a co przykrzejsza, okazał cień pewien nieufności, jak gdyby do zrozumienia dać chciał, iż ten co jednego zdradza i drugiemu może słowa nie strzymać.

Musiał i to przełknąć wojewoda, udając jakoby nie rozumiał, westchnienie z piersi mu się wyrwało.

Jeszcze rozmawiali, gdy Luder wychyliwszy się ku kompanowi za drzwiami nań oczekującemu, rozkazał podać wino i jedzenie, nie mogąc gościa, który widzianym nie chciał być, prowadzić do wspólnego stołu.

Wszystko było obrachowanem tak, aby do uczt królewskich nawykłemu Winczowi, który sam zamożnym był panem, okazać zakonu bogactwo i wspaniałość. W trzeciej izbie stał już nakryty obrusem szytym, zastawiony srebrnemi naczyniami pozłocistemi, szkłem weneckiem, misternemi puhary i misami stół, od którego zapach silny korzennych przypraw zdala czuć było.

Tu Luder wprowadził gościa zapraszając do posiłku przed podróżą. Sam on, do kubka nalawszy tylko nieco pigmentu, do ust go przyłożył za zdrowie wojewody.

Petrek się chciwie, nóż dobywszy z za pasa rzucił na jadło, Wincz nic oprócz wina nie tknął, chleba kawałek skruszył i zadumany pił tylko.

Posępność gościa, który miał odjechać z bólem w duszy, musiała nie być miłą mistrzowi, gdyż zmuszając się do wesołości, usiłował go w lepszy humor wprowadzić. Trudne to było zadanie. Dopiero gdy o królu Łoktku, o synu jego, o głośnej historji na dworze Karola Roberta mówić począł, zapowiadając iż wobec Jana króla czeskiego, który razem polskim się zwał i był, Władysław utrzymać się nie potrafi — usta się rozwiązały wojewodzie.

Namiętnie przeciwko królowi występować zaczął, wyśmiewając się i odgrażając nań.

Całe tam Łokietkowe życie przeszło przez gryzące

zęby człowieka, który temu królowi wszystko czem był zawdzięczał, owe boje początkowe młodzieńcze, zuchwałe, szczęśliwe i niefortunne, ubóstwo, prześladowanie, wojskowe hasanie po kraju, pokuta, wygnanie; powrót walki... a wszystko to co się na najpiękniejszy obraz niezmordowanej pracy składało, w ustach Wincza było przedmiotem szyderswa i najczarniejszych potwarzy.

Mistrz Luder, który nie siadał do stołu, ani jadł z niemi, słuchał rozumiejąc po troszę; ale nie potakiwał. Jako Krzyżak nienawidził on upartego Łoktka, który zakonowi dokuczał i przed papieżem go skarżył, a Pomorza broniąc, opanować nie dawał, ale od dawna słysząc o nim i patrząc nań, miał dlań poszanowanie jakie każda wytrwałość i męztwo obudza nawet w nieprzyjacielu.

Petrek tylko jedząc i pijąc czuł się w obowiązku uśmiechać i podnosić co mówił wojewoda aby mu się przypochlebić, niekiedy naprędce tłumacząc mistrzowi co dosadniejsze ustępy z wykrzykiwań Wincza.

Przeszła tak chwila dość długa, wojewoda spojrzał w okno i ruszył się z pożegnaniem, widząc, że dłuższym pobytem nic już tu nie zyszcze, czując, że był jak w zasadzkę wprowadzony i schwytany z małą lub żadną korzyścią dla siebie.

Przy pożegnaniu też gdy mistrz wielce był uprzejmym, wojewoda rozstawał się z nim z dumą i wyraźną jakby obrazą. Sam sobie był winien, nie było już na to ratunku.

Gdy sami znaleźli się w korytarzu zwrócił się nagle do Petrka, który nie zdawał się uczuć jego rozumieć ani podzielać.

— Daj cię pioruny biły, ciebie coś mnie tu wprowadził—zawołał—z temi lisami w mniszych sukniach i zbrojach razem, w kapturach a przy mieczach, djabeł nie dojdzie sprawy.

Petrek osłupiał.

— Samiście chcieli z nim rozmowy!—wykrzyknął zdziwiony.

Wojewoda ramionami ruszył i począł kląć.

— Głupim był — mówił idąc — trzeba ich było do mnie sprowadzić, a inaczejby się gadało.

— Z nich żadenby do was nie pojechał.

— A! bo rozumniejsi są odemnie—zawołał Wincz—a nadewszystko zimniejsi, gdy tu we mnie kipi wszystko! kipi! wre! Ha! stało się! Jeszcze mnie całego w ręku nie mają.

To mówiąc, korytarzami zwrócili się ku podworcom, w których konie ich i ludzie stali ukryci.

Widok tych wielkich przestronnych placów wśród twierdzy, wielce teraz był ożywiony. Zwykle dosyć puste, napełniły się przybywającemi coraz z innych burgów zakonnych rycerzami, sergentami, pachołkami, czeladzią i wozami.

Wyprawa przeciwko Polsce, po rozejmie gotowała się całemi siły zakonu, popartego przez przybyłych z zachodu gości; szeroko miano rozpuścić zagony i po drodze warowne grody zdobywać, aby się w nich sadowić samym, lub nie dać chronić nieszczęśliwemu ludowi.

Przybory więc widać było niezmierne, mogące dać pojęcie, z jaką straszliwą wojną na polskie posiadłości runąć mieli Krzyżacy, spodziewając się Łoktka przestraszyć, osłabić i uczynić sobie powolnym, a pomścić się za jego skargi, do papieża wnoszone.

Wojewoda stanął zdumiony tym ogromem przyrządów wojennych, które zepchnięte stały w podwórcach, jedne przy drugich, dziwne jakieś przedstawiając rusztowania windy, drabiny, belkowania, w których lesie trudno się rozpoznać było.

Wszystko, co dawniej znanem było i używanem przy obleganiu zamków, i co teraz wynaleziono na zachodzie, a zaledwie używać zaczynano, Krzyżakom służyło.

Od 1328 roku mieli oni już moździerze długie, z sztab żelaznych, spajanych obręczami, i śmigownice, znali użycie prochu i kól ognistych. Gotowali się właśnie przerażać niemi polskich kasztelanów i palić zamki, których oni bronili. Wszystkie one prawie naówczas drewniane jeszcze były, rzadko gdzie jaki kawał muru się znajdował, a od podkładanego ognia broniła ich nalepa gliniana. Łatwo więc było zapalać dachy i odarłszy ściany, ogień pod nie podłożyć.

Oprócz moździerzy i żelaznych działek, z któremi, jak z tajemniczemi narzędziami kryli się Krzyżacy—widać było w podwórcach ogromne Bleydeny, Wippy do ciskania kamieni, Balioty na kołach, liburny, drabiny i haki.

Większe z nich, których za wojskiem ciągnąć było niepodobna, rozbierali cieśle na wozy, inne na czółna składano do przewozu.

Około nich kręcił się mnogi lud, szwargoczący po niemiecku i nadzorcy stali rozprawiając co brać, co porzucić i jak zabierać.

Ciekawy Petrek, który już tu sznurkował wprzód i podglądał, prowadząc wojewodę, wśród tego lasu, kędy drogę sobie utorować nie było łatwo — zawiódł go umyślnie do miejsca, gdzie nowe przybory do wyrzucania ognia i kul kamiennych stały osobno pod strażą. Tu najwięcej też się ludzi skupiało, opowiadając o cudownej sile jakiegoś czarnego proszku, którego parę garści starczyło by ogromną kulę, którą ludzi kilku zaledwie podnieść mogło, cisnąć na nieprzyjaciela...

Opowiadano sobie, że pobożny jakiś mnich, zabawiający się robieniem lekarstw i różnych eliksirów, za przyczyną patronów świętych, ten straszny ogień wynalazł, aby on służył przeciwko poganom na chwałę Bożą.

Uczeńsi utrzymywali, iż robiono go z siarki, soli jakiejś i węgla, i że pobożny też Albertus Wielki,

mnich w Kolonji, znał już tego ognia siłę i jej używał...

Wincz mógł zdala przypatrzeć się niepozornemu żelaznemu działu i na wozie złożonemu moździerzowi... Postali, poruszyli głowami, a że tu na nich krzyżacka służba z nieufnością patrzała, wprędce musieli odstąpić i szukać ludzi swoich i koni.

Te przygotowania do strasznej wojny, której skutki znał dobrze wojewoda, choć ona do pomszczenia go przyłożyć się miała, zachmurzyły mu czoło bardziej jeszcze.

Któż kiedy w pochodzie strzymał zwycięzkich Krzyżaków, jeśli się im poszczęściło, a z bezbronnemi mieli mieszkańcami do czynienia?? Wincz wiedział, że i jego ziemie, dwory, poddani, jeżeli się na drodze znajdą, poszanowanemi nie będą.

Wszędzie, kędy przeszedł zastęp Krzyżacki, zostawała po nim pustynia, zgliszcza i nawet Bogu poświęcony kościół, ni klasztor się nie ostał. Nie brali niewolnika, wycinali w pień...

Z Tatarskiej niewoli okupić się było można, z pod miecza krzyżem naznaczonego, nikt żyw nie uszedł...

III.

Gdy sprawiwszy poselstwo swe, Florjan Szary z Surdęgi nad Pilicą, wyszedł ze dworu wojewody Wincza, szukając sobie noclegu krótkiego, bo się wnet nazad ze sprawą do swojego wodza Hebdy do Sieradzia chciał pośpieszyć, Włostek, prawa ręka wojewody, zastąpił mu drogę i ofiarował się izbę ukazać, zapraszając na kubek miodu, do pościeli zwykle wychylany, dla snu lepszego.

Czynił to w myśl pana swojego, a może z rozkazu.

Szary, który do rozmów wesołych, do pogadanek żartobliwych cale nie miał ochoty, w kubku też pociechy nie zwykł był szukać, choć troski miał dosyć na głowie, grzeczną ofiarę pułkowódzcy przyjąć musiał, lecz milcząco, na swój sposób, spokojnie i chłodno.

Zaszli do osobnej izbiny, gdzie już i ogień znaleźli naniecony i dzbanek gotowy i łoże posłane, a przez pachołka Florjanowego opończą jego i skórą narzucone.

Przysiadł się Włostek, żołnierz od dzieciństwa, wychowanek wojewody, służka powolny zręcznie usiłując Florjana wybadać, z ciekawości niby, jakie tam i gdzie siły król zbierał i kędy miał iść z niemi.

Florjan, choć podejrzenia najmniejszego o knującej się zdradzie mieć nie mógł, instynktem, a potroszę i naturze swej posłuszny, niebardzo się wygadywał. Składał się niewiadomością swą, że go dopiero teraz Hebda z domu wyrwał; że niewiele co było mu wiadomo.

— Tyle wiem — rzekł — że król bardzo pilno zbiera ludzi, a i Węgrów zaciążnych będzie miał, i Litwa mu się też posiłkować przyobiecała.

— No, to siły, dzięki Bogu, znaczne zbierze — mruknął Włostek — ale takich też na Krzyżaków potrzeba, bo ludzie bardzo mocni są i także nie sami. Za plecami ich i król Jan i Niemców siła...

Nie znalazłszy w Szarym żadnego popędu do rozgadania się przy kubku, bo mu tylko pół słowami odpowiadał i zdał się jakby znużonym i sennym, co po podróży dziwnem nie było.—Włostek nie bawiąc tu nadaremnie, dobrego snu życzył gościowi i wyszedł z izby.

Szary, sam pozostawszy, ciężko westchnął, począł odzież na sobie zwalniać, pas zdjął i przybierał się do łoża, naprzód pokląkłszy na modlitwę. Ród to

bowiem był pobożny bardzo i w bojaźni bożej chowany.

Miał poklęknąć, gdy od drzwi coś zaszelpotało. Myślał pan Florjan w początku, że w kominie ogień się ruszył, usiadając i odwrócił ku niemu, patrząc by głownia na podłogę się nie stoczyła, gdy w ciemnym kącie, dojrzał kogoś stojącego i jakby skradającego się ku niemu.

Kto by to mógł być, zrozumieć było trudno... Wśliznął się dopiero, ostrożnie drzwi uchyliwszy, człek ten, cały otulony opończą, której kołnierz wysoko mu stał napięty do koła głowy i zakrywał ją całkiem prawie.

Stąpał noga za nogą tak, aby chodu jego słychać nie było...

Nie mógł wszakże złodziejem ani napastnikiem być, bo oko w oko patrzał na Szarego i znaki mu ręką dawał, aby milczał.

Ziemianin nasz, wielce był zdumiony:

Doszedłszy do granicy tej, gdzie się ciemność kończyła, a blask od komina poczynał, stanął ów tajemniczy przybysz i palcami znaki dawał Florjanowi, by się ku niemu przybliżył.

Coraz więcej zdumiewał się Szary, co to oznaczać miało.

W mroku człeka rozpoznać nie było można, i on też nie chciał pono się bardzo ukazywać. Był wzrostu niewielkiego, krępy, czapkę miał nasadzoną na czoło, i kołnierz prawie do niej dochodzący, tak, że ledwie ślepia widać było, gdy migały.

Nie zawahawszy się i nie pomyślawszy nawet o wzięciu miecza, który już odpasał i na pościeli położył, Szary podstąpił do dającego mu znaki.

Zbliżywszy się tuż, twarzy nie rozeznał, lecz głos posłyszał stłumiony a szparki.

— Kiedy ci król miły i wiernyś sługa jego — chodź...

I naglić począł, chwyciwszy go za pętlę u sukni.

— Chodź!

— Dokąd?

— Mało ztąd, mało, gdziebyśmy się bezpiecznie rozmówić mogli.

To mówiąc, zawrócił się nieznajomy człek, wysunął przez drzwi, oglądając za siebie — i jakby go co tknęło jeszcze, rzekł Florjanowi.

— Okno wprzódy zasuńcie, aby nie podpatrzono, że was w izbie nie ma.

Szary, zaciekawiony, posłuchał rady, choć całej tej osobliwej tajemnicy nie rozumiał, ani po co go z izby wyciągano.

Zaklęcie—jako ci król miły—wiele poskutkowało, bo całem plemieniem owi z Surdęgi, jak znaczniejsza część Sieradzian, do Łoktka byli przywiązani.

Z izby wyszedłszy, omackiem musieli po sieniach iść, aż w bezpieczniejszym kącie jakimś prowadzący stanął, za suknię ujął Szarego i do ucha mu się chyląc, szeptać począł.

— Pan Bóg cię tu miłosierny przyprowadził, wszak Hebda królowi wierny, a i wy?

— A komuż byśmy sprzyjać mieli — odmruknął urażony niemal Szary—o to i pytać się nie godzi.

— Słuchaj-że i bądź posłuszny — ciągnął dalej głos drżący, w którym Szary męzki, silny, ale stłumiony, poznawał. — Pan Bóg cię tu przywiódł... Pan Bóg! Sam on! Miłosierdzie jego...

Nad królem wisi straszna zdrada; ten, ten, którego on zrobił wielkim i potężnym, ten pan wojewoda Wincz, zły, że mu dla młodego pana odebrano rządy, zemstą się pali, idzie do Krzyżaków z całą swą siłą i poprowadzi ich na królewskie grody.

Spokojny dotąd i chłodny, Florjan rzucił się oburzony.

— Na imię Chrystusowe! to nie może być! kto? wojewoda.

— Psyt, milcz — począł drugi, ciągnąc go za suknię.—Ja ci to pod przysięgą zeznaję, jak Boga oglądać pragnę. Prawda jest... Ja należę do wojewody, jam w jego ręku, gdyby się domyślał że go wydaję jutroby mnie obwiesić kazał, *na stan niezważając*— ale sumienie mam, ale pobożnego króla starego bronić muszę...

Czas jeszcze aby nieszczęściu zapobiedz można. Jedź... jedź naprzód nie do Hebdy ale do Poznania do młodego pana, do Kazimierza, ten o niczem nie wie... a pod nim ogień podkładają—potem w skok do Hebdy, aby staremu panu dawał znać...

A niech się wam nie roi, że wam lada kto po ciemku baśń do ucha włożył... Bogiem się klnę — prawda to jest...

Zdyszany szybkiem mówieniem nieznajomy mąż tchnął nieco—a Szary stał coraz więcej zdumiony, aż mu się w głowie zawracało.

Nie wiedział czy miał wierzyć słowom i przysięgom—obawiał się jakiegoś podejścia, aby go na złe nie użyto. Pomimo zaklęć nie chciał wierzyć, aby ten wojewoda, z którym niedawno mówił, a o którym wiedział, że zdawna mu król ufał i całą tę wielką Polskę zdawał na niego—miał pana swego haniebnie zdradzić.

Słyszał o tem że Kaźmierza do Poznania z żoną wysłano, ale nie rozumiał jakby urzędnik miał zazdrosnym być o należną królewiczowi władzę.

Milczał więc w niepewności wielkiej i rozdarty na poły między obawą łatwowierności lub niedowiarstwa.

Mówiący odpoczął chwilę i nie doczekawszy żadnej odpowiedzi, odezwał się do Szarego.

— Rozumiecie mnie? posłuchacie?

— Rozumiem ci — odparł Florjan — ale żebym spełna już wiarę dawał—nie powiem. Widzi mi się to nie podobnem do prawdy, a może mściwem...

— Człecze!—przerwał głos groźny—nie mogę ci

powiedzieć kto jestem, bo życie ważę, ale klnę ci się przenajświętszą krwią Chrystusową... Słuchaj... Kapłan jestem, ksiądz jestem... Nie ważyłbym takiego słowa co na szali jak kamień zawiśnie, gdybym nie wiedział iż prawdę w sobie zawiera.

Florjan milczał... Większe miał teraz poszanowanie dla tego z kim mówił; poczuwał się do należnego posłuszeństwa.

— Cóż mi czynić każecie?—spytał.

— Powtórzę ci, do Poznania mi ztąd jedźcie do samego młodego pana. On o niczem nie wie, do ostatniej chwili się niczego nie domyśli...

Zdrada go otacza, wojewoda ma u jego boku swoich ludzi. Żadnemu wierzyć nie można okrom Trepki. Powiedz mu to, i niech się na ostrożności ma... Niech lepiej do ojca i do wojska jedzie z Nekandą, a nie siedzi w Poznaniu.

Długo się na tę zdradę zbierało, długo Wincz z sobą się rozpierał—ale już paskudny wrzód w nim dojrzał, już. Rozkazy wydane, on sam pewnie z Petrkiem Kopą do Krzyżaków pojedzie.

Z Poznania, albo do króla starego z tem słowem jedź, lub do Hebdy... dokąd bliżej, gdzie staniesz prędzej, znać dawaj, a śpiesz—a leć!

Żywa dusza jeszcze nie wie o tem, co się knuje, oprócz zauszników wojewody—król bezpieczny rachuje na posiłki z Wielkopolski, a one przeciw niemu pójdą, przeciw niemu.. I ziemię naszą wezmą Krzyżacy niepoczciwi, i wy i Łoktek zginie!!

Choć w ciemnościach twarzy mówiącego dojrzeć nie mógł Florjan, z głosu drżącego poruszenie wielkie i niepokój odgadywał...

Jeszcze raz bojaźliwie, po cichu spytał.

— Więc—do Poznania?

— Nie mówiąc nikomu—dodał nieznajomy—nikomu... Nie nocuj tu długo, każda godzina droga...

To rzekłszy począł go nazad do izby prowadzić

nieznany człek, do drzwi jej dowiódł i rękę mu położywszy na głowie, szepnął po łacinie.

— *Benedicat te Deus*!

Szary chciał go w rękę pocałować, ale obróciwszy już tylko szmer odchodzącego posłyszał.

Po cichu więc wsunął się do izby, w której ogień był przygasł i jak stał na pościel się rzucił nie żeby spał, lecz by spoczął i rozmyślił się.

Do jego własnych ciężkich trosk przybyła mu teraz nowa, a nad nie straszniejsza...

Nie o jednego tu człeka szło, ale o tysiące, a najbardziej o tego starca króla, który całe przewalczywszy życie, nie zaznawszy spokoju; nie wziąwszy za trud swój zapłaty, z siwym włosem, ze starganemi siły stał teraz znów u brzegu przepaści, nie wiedząc o niej.

Litość wielka zdjęła mu serce dla pana tego, który tylu miał już nieprzyjaciół, a tu mu własny sługa miał się stać wrogiem.

Twardej natury, nigdy do łez nie skłonny Florjan — omało nie zapłakał.

Nie było tu co już do snu się kłaść, bo znużony mógł ranek zaspać, zatrwożył się—pierwsze kury już słychać było.

Położył parę polan na ognisko—zadumał się...

Pilno mu było przed wyprawą zajrzeć do domu, ależ stokroć teraz pilniej do Poznania, do królewicza z językiem...

Wiedział jak stary król jedynaka swojego miłował, bo na nim całą rodu swego złożył nadzieję i przyszłość, a tam temu ukochanemu zdrada już uknuta zagrażała...

Spieszyć więc musiał a bacznym być...

Wszystko to w sobie ważąc, Szary ucha nastawiał rychłoli drugie kury zapieją. Dzień jesienny wprawdzie nie rychło miał nadejść, lecz przypomniał sobie iż resztka księżyca ostatek nocy mogła oświecić.

Szło tylko o to aby w tym dworze i nieznanych szopach, wśród natłoku ludzi, konie swe i czeladź

znaleźć po nocy, nikogo nie budząc i na siebie oczów, nie zwracając.

Piały drugie kury gdy Szary podniósł się z pościeli, czapkę wdział, miecz na wypadek wszelki przypasał, bo bez niego nocką w obcem miejscu, wyjść nie było bezpiecznie i wysunął się z izby, szukając drzwi, na podsienie.

Starym obyczajem wszystko tu stało otworem, w podwórcach się spodziewał wychodząc znaleźć sen i ciszę—lecz, zdumał się bardzo mocno, gdy stanąwszy u wielkich drzwi i wyglądając ku wodopojowi i szopom postrzegł między ludźmi wojewody ruch wielki... Po za studnią rozpalone było ognisko i ludzie się około niego jak ćmy kręcili. — Noc w istocie jak się spodziewał, nie bardzo była ciemna, dostrzegł więc, że niektórzy na koń wsiadali i ruszali się już w drogę, drudzy w podwórcu konie wiedli... inni nie śpiąc przy ogniu czuwali.

Z postawy człeka, który przeciw płomieni stojąc jak czarny cień się wydawał; zdało się Florjanowi iż Włostka poznawał.

I jemu więc tembardziej czas było w drogę. Nie myśląc długo posunął się ku szopom aby czeladzi się dobudzić, o której wiedział z doświadczenia że sen miała twardy.

Szczęściem dlań pachole jego zaniepokojone tym nocnym ruchem, który we dworze panował, nie spało i poznawszy kroczącego pana podbiegło ku niemu z pod szopy. Konie nakazawszy natychmiast siodłać, Szary spokojniejszy do dworu powrócił, przyodział się jak należało i wprędce zabrawszy co miał, do przedsieni wyszedł czekać.

Bardzo mu o to szło aby jego wyjazdu tak pośpiesznego nie dostrzeżono, lecz było to prawie niepodobieństwem. Musiał więc wreście konia dosiadłszy powoli ciągnąć i nadchodzącego Włostka pozdrowić, rad że mu się bez przeszkody za wrota wydobyć udało...

Drogi do Poznania nie pamiętał wprawdzie, ani o nią mógł pytać, aby podejrzenia nie obudzić—instynktem więc ruszył ode dworu w prawo, choćby miał pobłądzić, postanowiwszy rychło u ludzi nie badać o gościniec. Musiał się na łaskę bożą spuścić i na oślep ciągnąć po nocy. Księżyc przekrojony już na pół, kawałkiem mu przyświecał po troszę aż do dnia.

Ku lasom się zbliżał, gdy i pierwsze brzaski na niebie się ukazały. Z niemi też i ludzie w polu musieli się zjawić, pastuchy z bydłem, a później z radłami i bronami rolnicy.

Pustą jednak wydawała mu się okolica i żywego ducha w niej, oprócz stad wron i kruków nie znalazł, które zobaczywszy jak od złych proroków się przeżegnał.

Był już na skraju lasu, gdy nareszcie człeka zobaczył zdala o kiju kroczącego. Spostrzegł go daleko wprzód nim on się widzianym być spodziewał.

Mężczyzna, wydał mu się silnym i rosłym, chociaż o kiju szedł i podobnym był ze stroju, łachmanów i torby do żebraka.

Lecz, gdy Szary właśnie się mu przyglądał—stał się cud—ów żebrak wnet się zgiął, zgarbił, zmalał, na kiju począł ciężko opierać i wlec tak noga za nogą, jak gdyby ledwie mu na to sił stawało.

Bystre miał oko Szary i ta nagła odmiana nie uszła mu, lecz że ubogich siła się takich włóczyło jeszcze: wróżbitów, śpiewaków, nędzarzy, a ci się często schorzałemi czynili aby litość obudzić--tak to sobie Florjan wytłumaczył.

Bacznie jednak wpatrywał się w żebraka, który tym samym przeciwko niemu szedł gościńcem.

Widać teraz było że głowę miał z karkiem przekrzywioną, a krzyże jakby złamane, choć niedawno przysiągłby był Szary, że go prostym zdala ujrzał.

Zwolnił koniowi kroku, bo się u żebraka o drogę chciał popytać i na równi z nim stanąwszy, stanął.

Żebrak się pokłonił rękę wyciągając, podniósł też nieco i głowy; o ile mu kark pozwalał. Oboje twarz i ręka jakoś się dziwnemi zdały Szaremu. Twarz miał białą i rysów nie dziadowskich, oczy wielkie i mądre, rękę nie zapracowaną... Tylko usta wykrzywione, z wargą dolną jakby na umyślnie odwaloną, nadawały mu wyraz znękanego i cierpiącego... A oczy jakby u kogo innego pożyczone, patrzały.

— Dobrzeć jadę do —

Tu Szary się pomiarkował i zmienił pytanie.

— Dokąd prowadzi ta droga, bom obcy?

Dziad się począł mu przypatrywać nie śpiesząc z odpowiedzią, a gdy się na nią zebrał zabrzmiał głos jego dziwnie. Polską miał mowę, ale nie prostych ludzi i dźwięczącą jakby z obca.

— Droga? — powtórzył—droga—toć do Poznania ona... A wam, miłościwy panie dokąd trzeba?

Florjan się zamyślił.

— Do kata!—zawołał, nie do Poznania mi... A no, co robić... Nawrócę dalej, gdym zbłądził.

Sparłszy się na kiju dziad stał i z oka nie spuszczał jeźdzca.

— Wyście tuteczni?—pytał Florjan.

— E! z całego świata! — mruknął dziad... Kto z torbami chadza domu niema i wszędzie mu dom byle łom!

Westchnął.

Florjan z kalety dobył pieniążka i rzucił mu go na tę dłoń białą. Nie ruszał się żebrak, nie jechał Szary.

— Rozpowiedźcież no mi dokąd ja zajadę tym gościńcem?—począł.

— A toć droga wojewodzińska, co ją wyjeździł pan Wincz, ludzie prawią—zamruczał dziad. — Jam tam nie świadom.

Panisko też nie tuteczny—mówił—pewnie od wojewody po sprawie posłany, bo on słyszę w Pomorzanach?...

Szary zmilczał rozmyślając, i nie odpowiadając, wolał sam rzucić pytanie.

— Po świecie co tam słychać?...

— Co? jak nie mór, to głód, jak nie głód, to wojna—prawił żebrak—a teraz coś ludzie bardzo na wojnę prawią! Nie daj Boże...

Jak się pierwsze sioła zapalą, pójdą wszyscy w lasy...

Krakają już krucy, krakają aż wykrakają...

W końcu z nienacka rzucił znowu dziad ciekawy.

— Panko nie do Poznania...

Florjan gniewnie ręką zamachnął.

— Gdzie zaś!

— To nawrócić trzeba! nawrócić!—rzekł dziad...

— Wprzódy gospody muszę szukać i popaść — mruknął Szary—z Bogiem!

I wyminął żebraka...

Ten stał skurczony... a gdy Szary go za sobą zostawił, zwrócił się, powoli prostować zaczął, i gdy go już nie widział, kark mu się odgiął i krzyże—zrobił się chłop silny; z szyderskim uśmiechem na twarzy... Żywym krokiem ciągnął wprost do Pomorzan.

Florjan wjeżdżał w las gdy mu pacholę szepnęło.

— Toć dziad złodziej czy co—z za pazuchy mu świeciło coś schowanego jakby ze złota...

— Tobie aby mosiądza kawał za złoto świeci, krzyżyk na sznurku musiał mieć od uroku...

Chłopak nie rzekł nic lecz głową potrząsał.

W las wjechawszy a drogi swej pewien będąc, poprawił się na siodle Szary, konia ścisnął i obróciwszy do czeladzi aby nie zostawała w tyle, z kopyta ruszył.

Słońce weszło na szczęście podróżnemu wesołe i jasne, mgły jesienne rychło w dół pospadały co było dobrym na pogodę znakiem, pajęczyny świeciły po polach jak srebrem zasnute, dzień się zrobił taki jakby chciał wiosnę przypominać — tylko ciepły do zbytku.

Jechali też krajem którego dawno wojna nie tknęła,

choć lesistym, lecz tu i owdzie osiedlonym i znacznie przekarczowanym, na ścierniach się trzody pasły i ludzie na widok podróżnego nie bardzo odeń uciekali.

Około południa trafiła się i gospoda z szopą, gdzie koniom było można dać spocząć i napoić je. Do Poznania już nad wieczór się spodziewał dociągnąć Szary, myśląc teraz jak ma się na zamek dostać, aby wśród tych zdrajców, o których go przestrzegano, poznanym i odkrytym nie był, a do królewicza mógł trafić.

Przystęp pewnie trudnym ziemianinowi żadnemu nie był, lecz z czem się miał opowiadać, aby się nie odkryć—sam nie wiedział.

Człek był pobożny, gdy mu własnego nie stawało wątku, obyczaj miał iż do Boga o pomoc wzdychał, a ta mu nigdy potem nie chybiła.

I na ten raz też myślał sobie, że byle do miasta się dostał, i na zamek potrafi...

W tych myślach ku wieczorowi, gdy już wedle rachuby swej o jaką milę albo i mniej był od miasta, a wieczór tak śliczny mu sprzyjał, że i droga się nie dłużyła, wjechał do lasku i zwolnił kroku.

Gościniec się nim wił sobie pomiędzy drzewy, jakby z ludzi żartował, coraz to łączkę zieloną, to rzeczułkę było widać, to skupiony gaik gęsty, to rozpierzchłe drzewa stare, co się porozbiegały od siebie, szeroko gałęzie rozpościerając.

Lubo jechać mu było, więc nie śpieszył.

Wtem gdy tak jedzie, ucha nastawił, zdala go śpiewy doleciały, pomięszane z wesołemi śmiechami. Poznawał głosy kobiece...

Słyszał nieraz Szary ludowe pieśni i słuchać ich lubił, a że młodszym będąc nietylko Sieradzkie, Łęczyckie, Kaliskie, ale Krakowskie i Sandomierskie zwiedzał okolice, i różnego polskiego wieśniaka znał zawodzenia, choć po troszę od siebie różne, a jednak

do siebie podobne, zdziwiło go to, że pieśni, które go dochodziły i nutą i językiem były odmiennym nucone...

Slicznie one brzmiały, tęskno, marząco, słodko... ale obco...

Dotąd jednak śpiewających nie mógł dostrzedz podróżny.

Dopiero gdy się droga zakręciła nagle, musiał aż konia strzymać, bo tuż, tuż osobliwy orszak nadciągał, jakiego w życiu nie widział, i nawet wyśnić było trudno, a zrozumieć kto tak jechał śpiewając i poco, trudniej jeszcze.

Przodem na siwym, małym ładnym koniku jechała piękna pani. Konik na pół był okryty szkarłatną oponą ze złotemi brzegami i kutasy, rząd na nim świecący złocony, miał wielki guz złocisty także, na piersiach, na głowie czub, a pod szyją wiszące sznury pąsowe ze złotem.

Jadąca na nim, z podniesioną do góry główką kobieta, włosy miała jak len jasne w kędziorach spadające na szyję, a po nich spływające do koła twarzyczki na ramiona; zasłonę białą po brzegach szytą złotem.

Suknia na niej jasna, poprzepasywana i bramowana, szyta wzorzysto, obcisła, okryta była płaszczykiem lekkim fioletowej barwy, który więcej ją stroił niż osłaniał. Wesoła to była i szczęśliwa jakaś istota, śmiały się oczy jej, usta, rumiane lice, gładkie czoło. Śpiewała z takim zapałem, tak sama swą pieśnią szczęśliwa, jakby dla niej największą było rozkoszą nucić i słuchać piosenki.

Za nią na koniach, na wozach i pieszo szły dziewczęta w zielonych wiankach rucianych, poubierane biało, poprzepasywane i postrojone kwieciem, tak rozśpiewane jak pani, towarzyszące jej głosami i uśmiechy.

Kilku starszych mężczyzn, jakby na straży jechali konno, a młodsze pacholęta szły przy koniu pani, uzdy jego pilnując.

Ona bowiem sama, cugle szkarłatne zarzuciwszy na rękę, na żwawego konika zważała mało, a siwy, wypasiony wierzchowczyk miał fantazyi wiele, głową rzucał, pobrykiwał, zżymał się, chciał swawolić. Naówczas jeden z chłopaków idących przy nim chwytał żwawo za uzdeczkę zmuszając go do posłuszeństwa i spokoju.

Orszak to był wesoły i jakby weselny, a na twarzach kobiet, które pięknej jasnowłosej towarzyszyły, widać było, że troski żadnej nie znały, światu się radowały i pani swej nie miały przyczyny obawiać.

Coraz to która wyrwała się z orszaku za kwiatkiem, za zieleńszą gałęzią, popychały jedna drugą, a wśród śpiewania gziły się i zaczepiały, rozbiegały, goniły i przypadały aż do koni i wozu.

Wśród tego różnobarwnego zastępu, bliżej samej pani i siwego konika, postępowało, a raczej szło skacząc, wyprawiając jakieś sztuki, rękami wywijając i prawiąc coś głośno, z czego się drudzy śmieli — dwóch ludzi osobliwie przybranych.

Jeden z nich, bardzo małego wzrostu, w obcisłem odzieniu, trzewikach z bardzo długiemi nosami, z brzękadłami u pasa, z pałką w ręku, do której jak cep przyczepiony był ogon lisi, w czapce śpiczastej, pstrej, miał twarz długą, żółtą, z bródką chudą i czarną...

Drugi jeszcze przysadzistszy, gruby jak kula się toczył. Niepomiernie otyły, z twarzą okrągłą, bez zarostu na niej, suknie miał naszywane w różne figury fantastyczne i kawałki materji jaskrawych.

Ci dwaj, których obowiązkiem zdawało się być zabawiać swą panią, odwracali się ku niej, patrzyli jej w oczy, dopominali się o uśmiech, popisywali przed nią. Gdy im brakło konceptów, wzajem się drażnili, stawali do boju niby, rzucali pociesznie, a dziewczęta przypatrujące się im pękały ze śmiechu.

Mężczyzni jezdni, którzy stanowili straż, bardzo wytwornie byli postrojeni na sposób cudzoziemski,

ale mało zbrojni. Widocznem było, że się nie daleko wybrali i zbroi wkładać nie potrzebowali.

Chociaż otaczało ich wesele i śpiewy brzmiały do koła, jechali poważni i niemal nasępieni, jakby z przymusu i obowiązku.

Duszą całego orszaku była młoda i żywa pani, która i sama śpiewała i wesołością swą, wejrzeniami drugich pobudzała, zmuszała aby jej radość dzielili.

Jadący naprzeciw Szary, zobaczywszy tę dziwną gromadkę rozśpiewaną, którą wziął z razu za jakieś wesele, dopiero przypatrzywszy się jej baczniej i nie widząc ani marszałka, ni drużbów, ni ręczników, przekonał się, iż się omylił. Tym więcej jeszcze dziwił się temu zjawisku i oczy wlepił w śliczną panią, której różowe usteczka otwarte, białemi ząbkami się śmiały, a oczy niebieskie zdawały we łzach rozkosznych roztapiać.

Zsunął się z drogi na bok ustępując orszakowi Florjan i domyśliwszy się, że pani dostojną być musiała, głowę przed nią skłonił. Wszyscy towarzyszący jej, bacznie zwrócili oczy na Szarego, obcego w nim poznawszy... Szczególniej straż konna przyglądała mu się, a on który też między nią twarzy znajomej szukał, znaleść nie mogąc.

Oprócz tego, że na wojenne wyprawy chodził gdy zawołano, pan Florjan po dworach i stolicach rzadko bywał, ludzi znaczniejszych znał mało. Nie wielką też miał nadzieję napytać tu kogo dla języka, gdy jeden z jadących za orszakiem zbliżył się doń i pozdrowił po nazwisku.

— Wszak Szary ze Surdęgi? — zawołał — jeśli mnie nie mylą oczy.

Ucieszył się wielce p. Florjan, bo mu się to zdało opieką bożą iż znajomego znalazł, choć poznać go nie mógł.

— Nie poznaliście Beńka Gozdawy? hę? — ozwał

się śmiejąc jezdny. Tożeśmy przecie rany sobie zawiązywali na ostatniej wojnie!!

Florjan aż krzyknął z radości, nie że człowieka znalazł, ale że mu się Beńko trafił, z którym pobratymcami byli od krwi razem przelanej.

V.

Usunął się Beńko nieco, gdy orszak przeciągał i stanął przy Szarym z boku.

— Z kimże to jedziecie i co to za zabawa jest!— szepnął Szary. — Patrzę ja, ale nie wiem i nie rozumiem nic. Cóż to, czy swadźba, czy wesele? gdzież druhowie i pan młody?

Beńko ramionami ruszył.

— Toście to nie słyszeli i nie wiecie?—zapytał.

— A zkądże i co wiedzieć mam!—rzekł Szary— jam zakuty doma...

— I nie domyślacie się kto ta pani? — śmiał się Beńko.

— Nie wiem, ani się domyślam — rzekł Szary.

— Ale słyszeć przecież musieliście, że młody nasz syn królewski Kazimierz ożenił się z księżniczką litwinką. Toć to ona jest, nasza przyszła, dali Bóg królowa, po swojemu zowiąca się Aldoną, a po chrzcie świętym Hanną...

I nie czekając odpowiedzi Szarego ciągnął dalej.

— Widzicie jaka wesoła pani jest. Bo to młode i życia chce używać. Nasi księża do rozpaczy z nią doprowadzeni, bo by z niej jaką Salemeę lub Jadwigę uczynić chcieli, a tu na nią sposobu nie ma. Pomodli się zrana w kościele, a potem skoczy do dzie-

wcząt swych i już się pieśni litewskie rozlegają po całym zamku. Bez śpiewania i śmiechu ta ptaszyna żyć nie może.

Ot co widzicie, my na to codzień patrzym... A że jej na zamku strach księży, w pole wyciąga z dziewczętami, aby śpiewać swe pieśni litewskie.

Nicby to nie było, tylko że nasi duchowni ani w ząb tego śpiewu nie rozumieją i bardzo się trwożą iż nieochybnie tam rzeczy pogańskie ich, litewskie tkwić muszą...

Chcieli królewiczównę innych pieśni uczyć, pobożnych, nie sprzeciwiała się im, ziewała tylko srodze, ramionami ruszała i do swoich powraca, bo powiada, że nie ma jak te jej litewskie pieśni.

Szary milczał, i dla niego te śpiewy w języku pogan, dla Polaków nie zrozumiałym, wielce podejrzane były.

— To jeszcze młode bardzo—mówił dalej Gozdawa—na pół dziecko... ale z czasem obyczaju naszego się nauczy.

— Hm! — rzekł Szary — a do czegóż jej ci dwaj służą błaznowie co przodem przed koniem kroczą?

— Rzekłeś sam — rozśmiał się Beńko — błaznowie są. Jeden co po prawej ręce z lisim ogonem, to nasz prawy po polsku błaznujący, z Krakowa rodem, zowią go lisicą, ten że jej nie bardzo do smaku, więc drugiego, tego opasłego baryłę z Wilna sobie ściągnęła, a zowią go, jakoś tam z litewska: *Keleweże*.

Szary głową pokręcił.

— To i dziewczęta pewno litwinki być muszą? — zapytał — bom pieśni słuchając nic zrozumieć nie mógł?

— Są między niemi i Krakowianki i tuteczne z Poznania — odparł Beńko — ale najwięcej litwinek, bo te tylko jej pieśni umieją śpiewać, a ona bez nich by nie wyżyła...

— Królewicz w Poznaniu? — spytał rzucając na Beńka wejrzenie bystre, Szary...

— Jest — rzekł Gozdawa — ale się do ojca ciągnąć wybiera, bo wiecie, że do wojny się sposobią. Trzebaż mu u boku króla być.

Po krótkiem milczeniu, chętny bardzo do rozmowy Beńko dodał.

— Może się naszemu Kazimierzowi na wojnę i nie bardzo chce, choć mu pewnie na męztwie nie zbywa, ale on jakoś w tych krwawych bojach, w których myśmy wzrośli, nie smakuje.

Powiada zawsze że dużo w domu jest do roboty, a czasby pokój mieć, aby lepiej u siebie gospodarować...

— Dziwna to rzecz — odezwał się Szary — że po ojcu nie wziął ochoty do wojny, bo król od dziecka nie robi nic ino wojuje...

— Tak, aleć bywa nieraz że właśnie po skąpym następuje rozrzutny, a po marnotrawnym oszczędny... może i my pana miłośnika pokoju dostaniemy po Łokciu...

Tu dopiero Beńko, jakby sobie przypomniał, o co mu najpilniej pytać było, zwrócił się do Florjana i rzekł.

— A wyż tu do nas, z czem i poco? boć to wy czasu nie zwykliście marnować i pewnie was Hebda zabierze na wyprawę.

Szary się trochę z odpowiedzią strzymał, niewiedząc zrazu czy całą prawdę rzec, czy przez pół, czy skłamać... Sprawa była ważna i ladakomu się jej zwierzać nie godziło. Nie wiedział czy Beńko, choć do Kaźmierzowych sług się liczył do wojewodzińskich przyjaciół nie należał. Wolał więc wybadać go nieco i rzekł.

— Jam do pana Wojewody był posłany.

— Ale go w Poznaniu nie masz — odpowiedział Gozdawa — podobno ze złości i gniewu do swoich Pomorzan uciekł.

— Za cóż gniew?—patrząc nań zapytał Szary.

— Długoby opowiadać—ramionami ruszając prawił Beńko.—Król tu posadził mu pod bokiem syna, a w ostatku, jak słuszna, żeby się młody do rządzenia zaprawiał dał mu wielkorządy, które Wincz długo piastował... Łatwo to zrozumieć iż wojewoda spadłszy z tronu, rozsierdził się...

Źli ludzie nawet prawią, czemu ja nie wierzę — dodał Gozdawa—że wojewoda gotów... przeciw królowi pójść.

— Strasznaby to była rzecz, pod ten czas... uchowaj panie... bo Wincz ma z sobą niemal wszystkich ziemian Wielkopolskich.

Szary teraz już był pewien, iż z Beńkiem otwarcie mówić może.

Orszak królewiczownej śpiewający, oddalił się był nieco i podniesione głosy dziewcząt dochodziły ich, zostali sami.

— A nie trzeba wam z panią waszą ciągnąć — spytał Szary—żebym was nie zatrzymywał?

— Musu w tem niema —odparł Gozdawa.—Dla bezpieczeństwa zawsze kilku nas towarzyszy jej, gdy wyjeżdża, ale jednym mniej lub więcej, nikt nie zważa.

— A niemoglibyścież ze mną do Poznania?—szepnął Szary—bo prawdą a Bogiem, mam sprawę ważną i bez was mi się ciężko obejść będzie.

Spojrzał Gozdawa nań...

— Czekajże—zawołał—skoczę ja do starszego do pana Włodka i opowiem mu się... a potem cię poprowadzę...

— Ale ani Włodkowi nikomu o mnie, ani o żadnej sprawie, ni słowa—wtrącił Szary żywo. Powiedzcie że... przyjacielaście napytali.

Głową skinąwszy tylko Beńko, skoczył konia naparłszy ku orszakowi i w mgnieniu oka już nazad był.

Nie było już co się z prawdą drożyć—począł Florjan opowiadać co mu się w Pomorzanach trafiło, i z czem go posłano...

Zasępił się Gozdawa wielce.

— W samą porę przybywacie—rzekł — abyście poparli to, czego się już wielu domyślało i lękało. Ale o sprośną zdradę, choćby kto się dowąchał, strach obwiniać takiego człeka znacznego jak wojewoda. Pan Bóg was tu zesłał... Że się coś kłuło koło nas i kłuje i że tych tutecznych Wielkich Polan dużo na nas krzywo patrzy, a za wojewodą ciągną, myśmy to czuli...

Musimy z tem nie wprost do królewicza, ale naprzód do Nekandy Trepki, którego mu król dodał... poważnego męża i rozumnego, który będzie wiedział co począć.

I żeby zdrajcy, których pełno u nas jest, nie domyślali się czego, nie bardzo was będziemy pokazywali. Staniecie gospodą na mieście u mojego znajomego Wilczka... który śliczną córkę ma...

Szary się poruszył.

— A dajcież mi pokój z najpiękniejszą dziewuchą, przecież wiecie żem żonaty i moją Domnę miłuję nad życie... a nawet dla jej miłości cierpię...

Gozdawa się śmiać począł.

— Albo to co przeszkadza pięknej dziewce w oczy zajrzeć?...—zawołał. — Tyle człowiek w życiu ma co tych kwiatków choć powącha.

— Z was bo bałamut zawsze był, a jam człek stateczny—odparł Szary.

— No—i żonie waszej krzywdy czynić nie chcę—rzekł Beńko — ale bezpieczniejszej i lepszej gospody jak u Wilczka dla was nie znajdę. Jak będzie koło was przechodziła Marychna, to se oczy przysłonicie.

Wilczek dom ma na samem Podzamczu, a że do niego dużo przyjaciół zajeżdża, więc i na was nikt tam zważać nie będzie.

Rozmawiając tak zbliżali się do miasta, którego kościoły i przedmieścia już widać było... Szary tro-

chę twarz przysłonił, a Beńko uliczkami pomniejszemi go prowadząc między ogrodami i opłatkami, gdzie się mniej ludzi kręciło, prawie nie narażając na spotkanie dowiódł do owego Wilczka zapowiedzianego.

Zamożny to był mieszczanin, który bydłem handlował, choć sam już rzeźnikiem nie był. Mówiono o nim, że pieniądze znaczne miał, lecz tego po sobie nie dawał poznać, i ludzie miarkowali tylko z domu, który sobie wystawił, a którego mu zazdrościli.

Ten to dom bardzo obszerny powodem był częstych odwiedzin różnych ludzi u Wilczka.

Gospód naówczas porządnych po miastach tak jak nie było, zwyczajem zaś powszechnym że panów i ziemian mieszczanie u siebie ugaszczali. Czasem się to podarkiem lub groszem zawdzięczało, czasem gościnność daremną bywała. Każde lepsze domostwo w mieście, czasu wielkich zjazdów gości miało.

Wilczek gospody właściwie nie trzymał otwartej, lecz w dużym domu gość mu nie ciężył, a mówiono iż na dole wynajmował izbę na szynk komuś i z tego zyski ciągnął.

Na biedę zastali koło Wilczka i ludu różnego dosyć i wozów i koni jezdnych, tak że Beńko się uląkł czy Szarego potrafi umieścić, lecz w progu zaraz zobaczył ową piękną Marychnę, u której łaski miał i do niej przyskoczywszy, a cicho z nią poszeptawszy, Szarego z ludźmi do sieni wprowadził.

Marychna w istocie piękną była wedle wymagań ówczesnych, i wyobrażeń o piękności. Mało co wzrostem nie była równą z Beńkiem, a zbudowaną jakby zbroję nosić miała. Silna, czerstwa, rumiana, ciemnooka, zręczna, gibka, nie potrzebowała się lękać nikogo, bo nie lada mężczyzna sprostał jej mocy.

Wesołą też była i rozmówną... Milczącego Florjana wwiodła sama do izby, rada się rozpytać zkąd był i co wiózł, ale Szary mało czem ją zbywszy, opowiedział się znużonym i na ławę legł, czekając co mu przyniesie Beńko...

Przeciągnęło się prawie do nocy, nim Gozdawa powrócił oznajmiając mu że Trepka nań czeka.

Szli więc na zamek.

Tu już się wszędzie świeciło, bo i królewiczówna powróciła ze swej wycieczki z dziewczętami, i królewicz był na zamku.

O ile mrok dojrzeć dawał, dwór młodego pana wydał się Szaremu wcale różnym od tego, który starego Łoktka otaczał.

W Krakowie gdy gości miał przyjmować stary pan naówczas, prawda, nie szczędził niczego, i ludzie u dworu wspaniale wyglądali, ale powszedniego czasu skromnie było i ubogo.

Królowa i on nie zapominali że tułaczami byli i jedli podczas chleb czarny często łzami polany. Teraz im też prostota była najmilszą.

Na starość też Łoktek i żona jego pobożnemi się stając, umyślnie się odzieżą i życiem umartwiali.

Tu zaś nie po staremu wyglądało przy młodym panu.

Służba była z cudzoziemska strojna, obcisło pstro, włosy trefione, łańcuchów, kaletek, nożyków, pasków, kutasów na niej podostatkiem.

Starsi dworacy w jedwabiach, a czeladź kręciła się z jakąś swobodą i raźnością, która nie wielkiej surowości i karności dowodziła. W podsieniach i na gankach niewieścich sukienek kręciło się dużo i śmieszki było słychać wieczorne.

Wesołym był zamek, jakby za najlepszych czasów—i jakby mu nic nie zagrażało.

Nekanda Trepka mieszkał niedaleko od komnat królewicza, więc do niego iść musieli aż pod same gmachy pańskie pełne wesołej młodzieży, światła i woni korzennego jadła i napoju.

Starał się Szary aby mało go kto widział, a zabawiający się dwór nie bardzo nań uwagę zwracał.

Czekał na nich poważny ów Trepka w komnacie

niewielkiej, po rycersku przybranej w wojenne rynsztunki.

Mąż był lat średnich, na którym wojenne rzemiosło poznać było łatwo, trzymał się prosto, twarz miał marsową, zarosłą—oblicze poważne i myślące. Mruczkiem go zwali ludzie, bo mówił mało, lecz do rady był i do sprawy tak pewnym, iż się nań i stary król i każdy co go znał mógł spuścić a spać spokojnie. Dla tego, zawsze o syna jedynaka trwożący się Łoktek, Nekandę mu dawał za towarzysza i doradzcę.

Trepka już uprzedzony we drzwiach przyjął Szarego, wyzywając by mówił z czem przybywał. Mimo męztwa widać było po nim trochę niepokoju.

Szary rozpoczął obszerną relację o swem poselstwie, o pobycie w Pomorzanach, i o tem co mu się tam przytrafiło; mocny na to nacisk kładąc, że ów nieznany człowiek, który mu o zamierzonej oznajmywał zdradzie, mienił się duchownym, więc wiara mu większa mogła być daną.

Żeby zaś kto pod owe czasy, kapłanem się miał czynić, nie będąc nim—tego nie przypuszczano nawet.

Trepka raz i drugi sobie powtórzyć kazał przestrogę ową i wysłuchawszy opowiadania—rzekł:

— Dawnom to wróżył. Już mi tu wojewodzie z oczów źle patrzało. Z królewiczem łagodnym i uprzejmym, szorstko się obchodził, po za oczami i uszy naszemi wygadywał wiele, pono się i odgrażał... Znać było że się nie pogodzi z tem co mu przeznaczono. Ale król nasz stary omylił się w tem, że mu wielkorządy odbierając i województwo, nad wojskiem władzy nie wziął.

— A coby to pomogło?—odparł Beńko przytomny rozmowie.—Jego władza nie w tem, że on wodzem się mianuje, lecz że lat tyle rządząc ludzi sobie zjednał i Nałęczów a ich powinowatych, których tu jak piasku jest, będzie zawsze miał po sobie. Z trwogi od nich i drudzy pójdą.

Jeszcze chwilkę na badanie Szarego obróciwszy

Nekanda, wyszedł zobaczyć, czy do królewicza przystęp był wolny, chciał bowiem zaprowadzić Florjana, aby jemu opowiedział co przyniósł.

Za czem sieniami ciemnemi do pańskiej komnaty wwiódł Trepka posła.

Tu było na co patrzeć, bo choć gmach zamkowy stary się wydawał i więcej ku obronie jak dla wymyślnych wygód zbudowany — tak go umiał sobie przybrać i przyozdobić królewicz, iż komnaty które zajmował, prawdziwie królewsko wyglądały.

Na podziw tylko, jak na owe czasy mało widać było oręża, a ten który po ścianach gdzieniegdzie był rozwieszony, więcej się odznaczał wytwornością i pięknością, niż mocą i był więcej na występ niż do boju przeznaczony.

Tarcze i szyszaki wschodnie, które królewicz z sobą z Węgier poprzywoził, złotem były sadzone i czarnemi listewkami, jakby kamiennemi dziane.

Na stołach księgi widać było i pargaminy, naczynia osobliwych kształtów, w smoki, gryfy i różne stworzenia powykuwane.

Obrazy też na złotych dnach wisiały na ścianach.

Na kobiercach i obiciach nie zbywało, bo całe ściany niektóre szytemi szpalery były poodziewane, na których łowy i zabawy różne, w rozkosznych gajach i panów a panie jakby żywe z ptakami łowczemi na rękach, konie i psy widać było.

Od sklepienia zwieszały się pozłociste świeczniki, gdyby w gałęzie i liście porozrastałe.

Młody pan stał już czekając na zapowiedzianego ziemianina, w stroju jaki za dnia nosił, bo go jeszcze zrzucić nie miał czasu. Obcisłe ubranie spodnie, pasem ujęte, na wierzch okrywała jakby opończa dostatnia aksamitna, jedwabiem podbita, z rękawy rozkrojonemi, które długo się zwieszały.

Piękna twarz, włosem w pukle się zwijającym otoczona, z oczyma śmiałemi, rysów szlachetnych i wyrazistych, więcej tym co ją znali za młodu, królową

matkę niż starego Łoktka przypominała. Lecz było coś i ojcowskiego w czole i wejrzeniu rozumnem a nieulęknionem...

Co mówiła ta młodociana jeszcze i wszystkiemi młodości pożądaniami ziejąca twarz—tego sobie Szary wytłumaczyć nie umiał. Poczuł tylko dla niej poszanowanie i znalazł w niej dobroć i łagodność, której się nie spodziewał, a wielką ochotę do życia i wiarę w siebie.

Choć królewicz wiedział już że mu nie dobrą niesiono wiadomość, wcale się nie zdawał nią zatrwożony... Oczy tylko błyskały ciekawością rozbudzoną.

Szary mu się do kolan skłonił, gdy królewicz prędko go podnosząc zagadnął.

— Coście w Pomorzanach widzieli?

— Więcejem, miłościwy panie słyszał, niż widziałem—odezwał się Florjan—i to mnie trwoży że mi twarzy ukazać nie chciano.

Począł więc rozpowiadać o tajemniczej przestrodze...

— Że wojewoda na króla i na mnie gniewny — rzekł Kaźmirz wysłuchawszy—to i my wiedzieli, lecz żeby się miał przeciwko nam z Krzyżakami wiązać, ledwie do wiary!!

— Miłościwy panie—przerwał Nekanda — lepszy ostrożności zbytek, niż ufność zbyteczna. Trzeba się na pieczy mieć...

— Jedźcież z tem wprost do króla JMci—rzekł królewicz—jedźcie a pospieszajcie. Powiedzcie mu, że ja też wprędce ku niemu ciągnę, bo na zamku siedzieć nie mogę, gdy wiem że on siwą głowę swą nastawia na nieprzyjacielskie ciosy...

— Król JMość — odezwał się Trepka—nie życzył tego... Nie wiele my mu tam pomożemy, a uchowaj Boże klęski—niechby nam pana nie zabrakło, bo nas rozszarpią.

— Ja tu nie usiedzę!—zawołał żywo Kaźmirz — musimy iść, musimy!! Widzicie też że bezpieczeństwa większego na zamku nie będzie niż w polu.

Wojewoda tu za długo siedział, by sobie ludzi nie zjednał... Nas tu jak ryby w saku mogą pobrać...

— Nie dalibyśmy się—odparł Nekanda—a idąc, miłościwy panie, z kimże pójdziemy? Musimy z sobą właśnie tych tutejszych Wielkopolan ciągnąć, którzy nas w polu dla wojewody zdradzić mogą.

Królewicz potrząsł głową.

— Z dwojga złego, wolę w polu być i z ojcem, niż tu siedzieć i czekać, a nękać się próżnowaniem...

Zwrócił się do Szarego...

— Wy—rzekł — do króla z tem pospieszajcie bo my bez niego sobie rady nie damy, ani byśmy śmieli na co ważyć. Powiedzcie mu od nas, że i my po wojewodzie złego się spodziewaliśmy, że i Trepka dawno go podejrzewał...

Rozmawiali jeszcze, gdy boczne drzwi rozwarły się nagle, opona w nich podniosła, śmiech się dał słyszeć wesoły, i na tle ciemnem ukazała się postać jakby cudem zjawiona — młoda pani w sukni białej, z włosami na ramiona spuszczonemi, z piosenką i śmiechem na ustach...

Nie miała już na sobie stroju jaki ją zdobił w wycieczce za miasto, ale cienkie i lekkie rąbki, które kibić jej rysowały wiernie... Nad czołem tylko za całą ozdobę, we włosy wpleciony sznur albo raczej przepaska złocista, je utrzymywała.

Weszła śpiewając, zobaczyła obcych, ręką po nad głową potrzymała chwilkę ciężką oponę, rozśmiała się wybuchem śmiechu dziecinnym; — zasłonę opuściła i znikła...

Kaźmirz, który zwrócił głowę w tę stronę, rozśmiał się także, i krok uczynił ku niej, lecz już jej nie było...

Szary się żegnał...

Wyszli natychmiast z komnat pańskich, a Beńko wprost ztąd powiódł towarzysza swego do gospody Wilczka.

Pan Florjan chciał tylko się przespać nieco i ze dniem puścić znowu w drogę. Nadto ważne wiózł wieści, by mu pilno nie było... Na spoczynek wszakże rachował przedwcześnie, bo Beńko mu nie chciał go dać, zapraszając jeszcze do siebie na wino. Nie można było odmówić...

Sieradzanin Grzmot Hincza dopytawszy współziomka, przyplątał się do nich trzeci.

Było to zawsze w polskiej krwi, iż od kupy nie rada się oddzielała, a gwarzyć lubiła, musiał więc Szary, choć nie pijał wiele, zasiąść za stół i słuchać gadek wesołych, sam po troszę do nich pomagając.

Beńko był niewyczerpanym i usta mu się nie zamykały...

Więc na Wielkopolan za grzechy Nałęczom wymyślano co wlazło, w czem Grzmot, który ich nie lubił, bo mu dziewka jednego Nałęcza odkosza dała, też dopisywał dobrze.

Część nocy tak przesiedzieli, ani się obejrzawszy, i gdy Florjan się nareszcie zrywać począł do gospody, aby zawczasu ruszyć, już na zamku wrota były zawarte i klucze odniesione.

Posłano mu więc słomy w izbie Beńka, i gdy Grzmot, podpiwszy wyszedł, rozpowiadali jeszcze długo różne stare dzieje.

Nie było już co spać, Florjan tylko czekał, aby wrota ze dniem otwarto. Zbierało się na dzień, gdy w podwórcu ruch jakiś robić się począł i Beńko, narzuciwszy kożuch, poszedł się dowiedzieć o jego przyczynę, bo w tej porze był niezwykły.

Jak poszedł, tak przepadł. Szary się już przyodział i do gospody mu pilno było, a tu Gozdawy doczekać się nie mógł.

Byłby go już klął, gdyby nareście poruszony wielce i zdyszany nie wpadł Beńko.

— A co? — krzyknął od progu — a co? prawdzi się coście przywieźli... Posłaniec, którego Nekanda jeszcze poza wczoraj, nie dowierzając wojewodzie,

wyprawił na zwiady, w tej chwili z językiem powrócił. Sprawny człek!!

Zbudzili Trepkę — i powiada, że wojewoda z tym łotrem Petrkiem Kopą do Krzyżaków już pojechali w swaty.

Wojewodzina, słychać, pobiegła za mężem, u nóg mu leżała i zaklinała, aby zdrady nie poczynał, nic nie pomogło...

Dobka sobie Nałęcza sprowadził, ale ten, jak nasz człek ręczy, wypowiedział mu posłuszeństwo...

Wszystko to królowi masz zawieść, bo teraz już wątpliwości niema, że Wincz z Zakonem się sprzęże... Niech Król radzi...

Tu Beńko przerwał sobie nagle.

— Radzić! co tu radzić! jabym ludzi posłał póki czas, wojewodę ujął i ściąć dał — byłaby rada...

— I wszyscy Nałęcze mszcząc się za niego, dopiero by się zawzięli! — odparł Szary.

— I to prawda — rzekł Beńko — ale gdybyśmy ich miodem posmarowali, lepsi nie bedą.

Szary już dłużej czekać i wytrzymać nie mógł, ruszył conajśpieszniej do gospody, od sieni wołając na czeladź, aby mu konie dawano.

Z brzaskiem też był już za miastem i po kościołach na jutrznie dzwoniono, gdy się na gościniec wybił.

Ranek był mglisty i wilgotny, choć nie bardzo zimny...

Pacierze zacząwszy odmawiać i kaptur zaciągnąwszy na głowę, zadumany wlókł się p. Florjan, gdy o małą może milę będąc od miasta, posłyszał tentent za sobą.

Tknęło go to. Pomyślał sobie, iż na zamku Nałęcze swoich mieli, podsłuchać mogli, a na nocnej biesiadzie Grzmot i Beńko cale ostrożnemi nie byli. Nuż zwąchano z czem jedzie i co do króla wiezie, nuż pogoń za nim puszczono?

Sromał się tego podejrzenia, ale mu dolegało tak,

iż się oprzeć nie mógł, dał więc pocichu ludziom znać i z drogi zjechawszy w gąszcz, stanęli.

Ledwie się w niej umieścili, tuż ponad gościńcem, gdzie ich dla krzaków i gęstej mgły widać nie było, gdy tentent się zbliżył i głosy słyszeć dały...

Nastawił ucha...

Po stąpaniu konia i mieniających się głosach poznać mógł, iż ludzi co najmniej pięciu lub sześciu być musiało...

Rozmawiali, głośno pokrzykując.

— Patrzaj śladów...

— Kto ta w błocie świeże ślady dopatrzy o mroku.

— Ale przecież byśmy go już nagnać byli powinni!

— Konia ma dziarskiego ten Sieradzianin jucha, a że mu pilno z językiem, nie żałuje go.

— Stary Łokieć zapłaci...

— Wiele ma czeladzi?

— A kto ich liczył...

Mijali go tak. Florjan się przeżegnał, Panu Bogu dziękując. Co miał robić, sam teraz nie wiedział. Był już pewien, że Nałęcze za nim gnali, na zamku wieczorem podsłuchawszy...

Stać i czekać, ażby ta pogoń się zawróciła, czasu była strata znaczna, za niemi jechać, niebezpiecznie.

Musiał więc, na drzewa i korę popatrzywszy, aby się bardzo nie obłąkać, puścić lasem bez drogi, w imię Boże.

Miał ci tę wiarę poczciwą, starodawną, że w sprawie tej, której służył, Bóg musiał mu pomagać i nie da mu się w lesie zgubić...

Nakazał czeladzi milczenie, przeżegnał się krzyżem świętym, konia ściągnął, kaptur nacisnął—i—w las.

VI.

Dzień był smętny, jesienny, dżdżysty, gdy po przyśpieszonej podróży dniem i nocą, niepewnemi drogami, zbliżył się Florjan Szary pod Kraków, i zdala mury miejskie a kościelne wieże i kopuły ujrzawszy, przeżegnał się pobożnie, Bogu dziękując, że go tu całego doprowadził. Nie tyle mu szło o własne życie i zdrowie, bo rycersko służąc, wiedział, że je co godzina niemal narażać musiał, jak raczej o wiadomości, które królowi wiózł, bo te pilno dlań i dla Polski całej były potrzebne.

Rozradowało mu się oblicze, zwykle dosyć posępne, gdy się ujrzał już pod samym grodem, pewien będąc, że poselstwo swe sprawi.

Gdy się rozglądał około miasta, którego dawno nie widział, a po okolicy, piękności się jej dziwując, prawie u samych murów na równinie, dostrzegł wielkie ludzi zbiegowisko, albo coś nakształt obozu...

Ruch tu panował wielki, jakby targowicę za bramy wyrzucono... Stały porozbijane namioty płócienne, wozów siła, gdzieniegdzie na drągach jakby chorągwie powywieszane i wiechy... Kręciło się ludzi jezdnych i zaprzęgów różnych dosyć i pieszego ludu.

Sądził zrazu Szary, iż w dzień targu musiał nadjechać, albo świąteczny, o którym nie wiedział, choć kalendarz, jak każdy ziemianin, na pamięć umiał; gdy na drożynie zetknął się z jadącemi zbrojnemi, którzy siano wieźli i sami na wierzchowych koniach, objuczeni niem, jak kopice siana wyglądali.

Pozdrowiwszy jednego z nich, spytał Florjan—co tu tak tłumno i gwarno dnia tego koło miasta.

— A zkądżeście wy? — odparł chłop, który sianem tak był obłożony, że mu nad niem tylko głowa

i hełm sterczał — zkądżeście wy, że o niczem nie wiecie?

— Jam trochę zdaleka — rzekł Florjan.

Ów z sianem przypatrywał się mu bacznie.

— Jakby Florjan z Surdęgi!—zawołał.

— Jam ci jest!—rzekł żywo Szary—a wy?

— A mnie toście dla tego siana nie poznali chyba, lub i zapomnieli. Nieraześmy się w Sieradzu spotykali na zjazdach... Jam ci Janik Trzaska.

— A prawda! — zawołał wesoło Szary — przebacz że...

Trzaska był ziemianinem z nad Pilicy, też nie majętnym, ale bardzo zabiegliwym. Starego rodu rycerskiego człek, z konia prawie nie zsiadał, w domu nie długo miejsca zagrzewał i tak się na siodle losu dobijał a dobić nie mógł. Znali go wszyscy z tej ruchawości i pracowitości, przez które dotąd nic oprócz guzów nie mógł napytać.

Nie zrażało to Janika, śmiał się sam z tego, że szczęścia nie miał. Ubogi był, ale wesół i ludzie go miłowali.

— Widzą — począł Janik, wystawując nieco głowę z tego siana, które miał do obu boków uczepione — widzę, że wy Surdęgi nie pilnujecie, a gdzieś się włóczycie po światu...

— Nie po dobrej woli! — westchnął Szary.

— Jać to i sam miarkuję, takbyście żonki nie odjechali — śmiał się Janik.

— A wyż tu co robicie? — zapytał Szary.

— Jam tu, jak widzisz, nie sam jeden... — mówił Trzaska — ze wszech stron król ściąga ludzi. Kto żyw... Zamek pełen, miasto pełne, ażeśmy się za bramy wylać musieli i obozujemy tu... Na wojnę się znowu zbiera, i pewnie na srogą. Powiadają, że Czech na nas ciągnie z jednej, a Krzyżak i kawałek Brandeburga z drugiej strony i pewnie Szlązacy... I Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Bo jak się na wojnę zbierze, nigdy jednej nie dosyć...

Krzyżakom pono posiłki z całego świata idą.

Naszemu staremu Łokciowi nie dadzą spocząć, ni się zdrzemnąć. Taka już dola jego, żeby nigdy pokoju nie zaznał!!

— Król na zamku?—zapytał Szary.

— Gdzie?—rozśmiał się Trzaska—jego na zamku, w mieście i wszędzie pełno. Stary, zdawało się, że już ociężał, ale! trzeba go teraz widzieć! Taż to ma bodaj lat siedemdziesiąt, a taki krzepki i na siodle cały dzień dla niego, jak drugiemu na posłaniu...

— Na toć go Bóg widzicie stworzył — odezwał się Szary — żeby on z tych skorup Polskę zlepił... Ubożuchny, mały człek, sam jeden, jak palec, a korony się dorobił... Wypędzali go tyle razy... przecież się ostał. Nie jest że to znak, że mu sam Pan Bóg pomaga i tego chce co i on??

Trzaska się uśmiechnął.

— Dobrze mówicie! prawda to jest! dla tego ja se myślę, że i teraz, choć na nas Czechy idą, Brandeburgi, Krzyżaki te i niewiem jakie djabły, a on im z Panem Bogiem rady da.

Trzaska dla owego siana, które wiózł, że mu niezgrabnie jechać było i bał się go gubić, choć powrozami było obmotane, jechał dosyć powoli; Florjanowi pilno było, musiał więc go pożegnać.

— Pilno wam! — spytał Janik.

— Bardzo, bom posłany do króla—rzekł Szary.

— Nie daleko go wam szukać—odparł Trzaska—oto tu pod bramą w obozie go pewno znajdziecie, bo sam ludzi opatruje.. Mało nie cały dzień od jednej jeździ kupki do drugiej, tak się jakoś troszczy... biedaczysko!

Byli już od wrót i murów niedaleko, gdzie się obozowisko poczynało.

Tu jak w samem mieście gwarno wyglądało, bo też co było przekupniów a lekkiego ludu w Krakowie, do obozu się cisnęło dla zarobku i rozpusty.

Baby powystawiały pod kramami ławki, poosłaniawszy je płachtami, chłopcy nosili w koszykach różną drobną kupię, wołając a krzycząc. Jaskrawo poprzyodziewane niewiastki jakieś kręciły się między namiotami. Kuźnię nawet na uboczu przemyślny kowal pod szatrą postawił i żołnierskie szkapy podkuwał.

W niektórych szałasach słychać było pijatykę i śpiewy, a próżne beczki wyrzucone precz świadczyły, że nie próżnowano. Z wrót lał się lud miejski, a w drugą stronę do grodu cisnęli się żołnierze, tak że w tłumie tym o przejazd trudno było...

Szary musiał się nieco wstrzymać, rozpatrując którędy najłatwiej wjedzie i czeladzi przykazawszy, aby się nie dała odbić od niego — gdy zdala Trzaska nań krzyknął i palcem mu coś ukazywać począł wśród obozu.

W miejscu tem, na które oczy obrócił Szary, rozpoznać było można orszak jezdnych, dosyć pokaźny... ale więcej nic.

Domyślił się jednak Florjan, że chyba i król tam być musiał, a zawróciwszy konia i torując sobie drogę między szałasami, wprost już skierował się w tę stronę. Po drodze mu wskazano w istocie, iż król tam był.

Lecz nie rychło go mógł dojrzeć, bo orszak dokoła otaczający go ukrywał. Widząc mozolnie się tak przebijającego, Trzaska, który siano zrzucił swej czeladzi, podbiegł ku niemu pieszo...

— Jeżeli króla wam pilno się dobić — począł — oto go macie... Podle niego ten brodaty, czarny, to Prandota kasztelan, oto ten siwy, duży, wojewoda Mikuła Piławita... a ten dzielny, szeroko pleczysty, Żegota z Morawicy, chorąży krakowski, innych nie znam.

A — otóż i król...

Gdy to mówił, rozstąpili się jakoś towarzyszący królowi i na koniu grubym a dużym mały pan się pokazał, opończą szeroką od słoty okryty, ponad którą

wyzłacany hełm górą sterczał... Można ztąd było dojrzeć żółtą pomarszczoną twarz jego posępną i siwe włosów kosmyki co ją otaczały.

Szary, który dawno króla nie widział, a mało i zdala tylko dawniej go widywał; ciekawie wlepił oczy w to oblicze, które przy tylu innych i piękniejszych i okazalszych. czemś nieopisanem nad wszystkiemi górę brało.

Wśród tysiąca ludzi oko by się na nim, nie znając, zatrzymać musiało.

Wypisanem miał na czole, że mąż był wielkiego trudu, wielkich boleści i czynów wielkich. Nad czołem jak chmura mu wisiał smutek jakiś i siła potężna... Rozrosłe brwi krzaczyste, ściągnięte do kupy kryły oczy jakby dla tego, aby z pomroki błyszczały mocniej. Usta miał zapadłe i policzki...

Przy tej starca twarzy, ciało było młode i obracało się żywo... Nie zmogły go wojny, ale je ukrzepiły. Nie znużony obracał się, patrzał, wskazywał, pytał, a mówiąc dumał ciągle. Usta były czynne, czoło chmurą okryte co innego rozpamiętywało...

Nie śmiał się sam Szary zbliżyć tak do pana, nie opowiedziawszy i zobaczywszy na koniu opodal nieco Hebdę sieradzkiego wojewodę, od którego wysłany był, pokłusował do niego.

Pomian Hebda nie młody pan, zaschły, zawiędły, opryskliwy i gorączka, kręcił się pomiędzy Sieradziany, których z radością ujrzał Szary... Poznawszy Florjana sam ku niemu konia skierował, i, jak był zawsze impetyczny, wnet krzyczeć zaczął.

— A ty już tu? a co? a z czem? a mówże? poselstwo sprawił? cóż przynosisz?

Szary tymczasem z konia zsiadał i szedł do niego.

Skinął aby się pochylił; na co Hebda się zżymnął zrazu, i począł mu do ucha na prędce rozpowiadać z czem go odesłano...

Pierwszych słów zaledwie dosłyszawszy, wojewoda już się z konia zsunął, zbladły i strwożony.

Nie dając się szeroko rozwodzić Floryanowi pociągnął go z sobą przed króla...

Tu kilka słów szepnąwszy, już Florjana popchnął naprzód i wołał nań.

— A mówże! mów...

Wyraźnego więc rozkazania słuchając Szary, choć mu się zdało, że nadto uszów słuchało, począć miał już, ulegając wojewodzie, lecz obejrzawszy się, że ludzie się cisną do koła, i zmiarkowawszy, że złe wieści w obóz rzucić, to jak popłoch naniecić, odezwał się do wojewody, iż mu zlecono któlowi samemu to zwierzyć...

I ręką wskazał gromadzące się do koła rycerstwo...

Zmiarkowali wszyscy, że miał słuszność, a że nieopodal namiocik stał lichy, zgrzebny jakiegoś pułkowódzcy, król podjechawszy doń, z konia zsiadł i z Hebdą razem wszedł prowadząc doń Florjana.

— Miłościwy panie—odezwał się pokłon mu uczyniwszy Szary—wysłany byłem przez pana wojewodę do Wincza z Pomorzan, abym mu co rychlej się stawić z ludźmi przykazał. Pośpieszyłem z tem do Poznania i niedociągnąwszy do miasta, w gospodzie mi ludzie rycerscy oznajmili, że wojewoda czegoś niechętny do Pomorzan odjechał i że tam go mi szukać.

Więc ja do Pomorzan. Tum przybył pod noc. Zastałem wojewodę z małą ludzi garstką i zarazem poselstwo sprawił. Przyjął mnie jak należało i oświadczył, że powinność swą spełni...

Szedłem tedy na spoczynek, gdzie już nocą nieznajomy człek, mianujący się kapłanem i sługą bożym, pod wielką klątwą zwierzył mi, zlecając abym o tem królewiczowi i wam dawał znać, że wojewoda z Krzyżakami się znosi, że do nich ma z Petrkiem Kopą jechać i że w Wielkiej Polsce dla zdrajców Nałęczów ani królewiczowi nie jest bezpiecznie.

Zerwał się słysząc to Łoktek i ręce zacisnąwszy,

z taką gorącością, której w nim nie widywano, chyba w bitwach, krzyknął przypadając do Szarego.

— Zdrajca niepoczciwy! Dałżeś memu Kaźmierzowi znać?

— Ztamtąd jadę odparł Florjan.—Król odetchnął i na swe miejsce, które był na pieńku obrał, powrócił.

Brwi mu się jeszcze mocniej ściągnęły.

— Mów, mów — dodał — wszystko mi mów...

I w tejże chwili wyrwało mu się.

— Samem tego węża na mej piersi ogrzał i wyhodował! Wszystko mi winien był...

Spuścił głowę siwą i powtórzył.

— Mów — wszystko!

Począł tedy Florjan znowu o tym księdzu, potem o podróży swej do Poznania i jak do królewicza był dopuszczony.

— Zdrów jest i nie frasobliwy?—zapytał Łoktek.

— Dzięki Bogu — mówił Szary... — Znalazłem go już uprzedzonym i niedowierzającym, a pana Nekandę przygotowanym do wyciągnięcia w pole z królewiczem, bo tam już o coś Nałęczów posądzano...

Tej zaś nocy, gdym w Poznaniu leżał, przyszła pewna wieść, iż wojewoda do Torunia jechał.

— Niepoczciwy! — mruknął król...

Zwrócił się do wojewody.

— Słyszę i wierzę — rzekł — a radbym wątpił, bo mi srom za niego i za was wszystkich, którym hańbę uczynił. Wincz z Krzyżakami! Łotry te go namówiły, przekupiły, obałamuciły.

Wstał król dla wielkiego bólu prawie już Florjana stojącego nie widząc i nie zważając na niego. Przeszedł się po namiocie, pogrążony w myślach gorzkich, Hebda milczał, Szary się cofnął aż ku wejściu i czas jakiś dali królowi samemu z sobą się naradzić. Jak przybity w początku ciężar swój dźwigał Łoktek, lecz właśnie tak jak człowiek, na którego ramiona wielkie brzemię rzucą, a on się pod niem

ugnie na chwilę i wnet rozprostuje niosąc je lekko— król wprędce przyszedł do siebie.

— Ha! — zawołał — nie całaż Wielkopolska z nim chyba pójdzie. Nie sami tam Nałęczowie. Ze strachu przed niemi powloką się trwożliwi, ale nie wszyscy.

Obrócił się ku wojewodzie.

— Nie przetoż mamy ręce opuścić? — rzekł — Kosztowaliśmy już zdrady—pan Bóg ją karze...

Dopiero Florjana zoczywszy, podstąpił ku niemu.

— Kaźmierzaś widział? powiadasz — począł zapominać się zdając trwogi. — Jakim że był? smutnym? wesołym? co mówił?

— Chciał do was, miłościwy panie: aby przy was stać i walczyć? Mówił że mu się gdzieindziej być pod ten czas nie godziło.

Łoktek się zatrząsł.

— Kazałem go poprowadzić Nekandzie w miejsce bezpieczne.

— To też i pan Trepka mówił — bo rozkazanie pamiętał — dodał Szary.

Łoktkowi twarz się rozjaśniła.

— Jeden z nas powinien bezpiecznym być — rzekł — bo gdyby nas obu nie stało i Polska przepadnie, czeski Jaszko ją zagarnie jak już Szląsko wziął...

Westchnął stary...

— Młodego potrzeba szczędzić, bo on więcej ma życia przed sobą — ciągnął dalej — ja stary, choćbym padł, szkoda niewielka...

Dosyciem się natłukł i napracował. Spocząć czas, a juściż mi nie w łóżku kończyć...

Uśmiech przesunął mu się po bladych ustach.

— Byle mi się młodzieniaszek nie wyrwał! Byle go tam Trepka uprowadził w miejsce dobre...

Wojewoda Hebda rzekł z cicha, że Nekandzie zaufać było można, człek był stateczny i rozumny.

— Dla tegom ja go przy tym skarbie postawił,

który mi najdroższym jest — rzekł król cichszym głosem.

Florjan, który już poselstwo swe sprawiwszy, czuł się tu zbytecznym, chciał się pokłonić panu i odejść. Wstrzymał go stary pan.

— Słuchaj no, jak cię zowią? — odezwał zbliżając się doń...—To coś mi odniósł tego innym nie powiadaj. Dowiedzą się i tak zawczasu, a dziś trwogi siać nie trzeba. Język za zębami trzymaj chceszli cały być.

Spytają cię, zkąd, z czem, powiadaj żeś do wojewody jeździł i sprawił co kazano.

W tem Hebda śmiejąc się i po ramieniu bijąc Szarego, zawołał.

— Miłościwy panie, za tego ziemianina jako za siebie samego ręcze, bo lepszego żołnierza u mnie w Sieradzkiem nie ma nad niego. Perła to jest...

Szary się nieco pokłonił, a stary król z za frasunku swego uśmiechnął mu się tak jakky słonko z za chmury błysnęło.

Wyszedł wreszcie z namiotu Florjan, przejęty cały tem, że króla widział z blizka i mówił z nim, obiecując sobie, że mu to na cały żywot jego pozostanie w pamięci.

Chciał iść do koni swych i czeladzi, aby do miasta ciągnąć i tam jakiejkolwiek gospody sobie szukać, aby spocząć trochę, choć wiedział, że o to łatwo nie było.

Lecz ledwie kilka kroków od namiotu odstąpił, gdy się znalazł w pośród znajomych Sieradzian, którym już Trzaska o nim rozpowiedział, a i ten też był między niemi.

Szary i ojciec jego oba mieli wielką u ludzi miłość, otoczyli go dalsi i bliżsi nawołując.

— Florek — a tyś tu z nami!

— Bywaj do swych...

— Chodź do nas!...

Trzaska go pod rękę ujął...

— Na miłego Boga — odezwał się trochę zafrasowany Szary lękając się aby go nie badano — jam z długiej drogi. Na siodle się stłukłem haniebnie, ledwie żyw stoję... Nocy nie dosypiałem, więc choć wam rad jestem z duszy, ale mi do siana pilniej niż do ludzi.

A Trzaska na to.

— Gdzież ty myślisz się mościć! Do Krakowa? do miasta. A no tam mysz się już nie wciśnie tak pełno. Niektórzy na poddaszach legają, inni bodaj w rynku.

Gdyby tam przytułek był, już mybyśmy też pod tę słotę cieplejszego kąta szukali.

Wziął go tedy Jarosz Grusza pod drugą rękę i rzekł.

— Ja tu mam namiocik, a i siana wiązka się znajdzie i przy moich konie postawicie. Chodź. W kociołku się coś skwarzy, a tyś pewnie głodny.

— Chodź! chodź! — odezwało się ze wszystkich stron.

Więc z jednej strony Trzaska, z drugiej Grusza, wzięli go jak swojego i do namiotu wprowadzili.

— Rozdziewaj się ze zbroi — i bywaj jak w domu—rozśmiał się Jarosz.—Wprawdzie dom płócienny tylko, żal się panie boże, ale w naszem rzemiośle gdy i taki nad głową jest Bogu dziękować.

Rozgościł się Szary, może i rad temu iż swoich znalazł.

Dobry czas upłynął od tego dnia gdy z Surdęgi wyjechał i o domu nie wiedział nic. Korciło go strasznie spytać którego z tych co bliżej mieszkali, czy co nie słyszał o rodzinie. A troskał się nie bez przyczyny, bo tam móla srogiego miał, który go gryzł. Lecz jak z jednej strony pilno mu było dostać języka, tak również się obawiał złej wieści, której przeczucie ściągało go ciągle.

W tej niepewności będąc, postanowił czekać już

lepiej, aż się jednemu z nich coś wyrwie, nie wywołując wilka z lasu.

Miał zamiar przed wyprawą, na którą musiał iść, wyprosić się jeszcze, choćby na dzień jaki do Surdęgi.

Trzaska i Jarosz gościnnie go przyjmowali, a Grusza widząc zmarzłym od rannego deszczu, krzyknął zaraz aby mu piwa zagrzano.

Im też pilno było rozpytywać Szarego, co słyszał i widział w Wielkopolsce. Trzaska nalegał zwłaszcza.

— A przywiodą nam ztamtąd ludzi? a ilu?

— Nic nie wiem — rzekł Szary — jeździłem do wojewody, sprawiałem co mi zlecono i tyle mi rzekł, że powinność swą zrobi, a ludzi zbierze.

— Cóżeś widział w Poznaniu?

Nie było innego sposobu na to naleganie odpowiedzieć tylko się żartem wykręcając.

— Com widział! — odparł uśmiechając się Szary, choć do wesołości żadnej ochoty nie miał. — A no! królewiczównę, która pieśni śpiewała... No—i u Wilczka w gospodzie dziewkę jego Maruchnę, taką że gdyby na nią zbroję wdziać, byłby z niej żołnierz.

— Patrzajcie go! — wykrzyknął Trzaska — cóż się waści w drodze stało? Człek co nigdy na niewiasty nie patrzył, teraz ino je widział! Ani go poznać?

Szary się zafrasował drobinkę.

— Dalibyście mi pokój, bom ono żyw, jestem tak znużony, że języka w gębie zapomniałem...

— A o Maruchnie pamiętał!—przerwał Grusza.

Śmieli się tedy...

Przyniesiono kubek wina grzanego, lecz gdy je drudzy zobaczyli, że z kminem było i zapach poszedł po namiocie, zaczęli się go napierać. Musiał Grusza cały kociołek kazać nastawić, bo z piwem jak z pigmentem, wiadoma rzecz, tylko począć trudno, gdy się zakosztuje, nigdy go dosyć.

Pod namiotem tedy wesoło było, a Szary myślał sobie.

— Dzięki ci, panie Boże, nie muszą o moich wiedzieć złego nic, gdy tak są weseli.

Na uboczu tylko siedział najbliżej Surdęgi mieszkający Napiwon, człowiek kwaśny i skarżący się zawsze, a zbiedzony.

Na niego poglądał Szary, bo czegoś posępny wyglądał, lecz nie było dziwu, takim on całe życie prawie bywał.

Milczał Napiwon do kubka tylko zaglądając i cale wesołości nie dzieląc.

— Dawnoście z domu? — zagadnął go wreszcie Szary.

— Ja? — odparł Napiwon (na imię mu było Żegota) — hm! jam się najpóźniej przywlókł, z końmi biedę miałem. Człek mi zasłabł.

Westchnął.

Sądził Szary, że mu co powie o ojcu i o Surdędze, ale—ani słowa. Byłby zapytał, strach go brał Myślał zresztą, gdyby, uchowaj Boże, złego co było, jużciżby oznajmił.

Tymczasem śmiano się i coraz pod namiotem stawało się weselej, a o spoczynku ani tu było pomyśleć.

Trzaska, który kości lubił, szukał już kubka i człowieka, z którymby grał.

Grusza zaś, że kosterów nie cierpiał przeciwił się.

— Ciskać u siebie kośćmi nie dam—rzekł—bo to z tego zawsze w końcu krew musi popłynąć.

Ale piwo z kminem nosili...

Szaremu w głowie szumiało i ze znużenia i z gwaru.

W tem Napiwon się podniósł z siedzenia i zbliżył do niego. Siadł na ziemi.

— Wyście dawniej z Surdęgi? — zapytał go.

— Mnie się już wiekiem wydaje — westchnął Szary...

Spojrzeli sobie w oczy.

— Spokojnie tam? — spytał Florjan, strzymać już nie mogąc.

Napiwon zadumał się, ramionami strząsnął.

— A kiedy u was spokój? — mruknął — dopóki wy Bąka pod bokiem będziecie mieli, spokoju nie zażyjecie.

Szary aż się porwał.

— Mów! spłatał już co? — zakrzyczał, a głos mu drżał z gniewu.

Napiwon zdawał się mierzyć słowa i ociągać.

— Gdyście z domu odjeżdżali — rzekł — juści nie mogliście się spodziewać, aby on z tego nie korzystał. Na to tylko czekał... Drugiego dnia już Surdęga była jak w oblężeniu... Ludzi pościągał...

— A ojciec mój?—zawołał Szary.

— Ojciec czuwa, nie bójcie się... — odparł Napiwon. — Bydło wam wszystkie zabrali z waszego własnego pastwiska, ale stary zaraz z ludźmi wyskoczył i odbił. Bąk ze swemi napadł na wasz gródek, ale mu dali tęgą odprawę.

— Boże miłosierny — pot ocierając z czoła, przemówił, pomilczawszy, Szary — kiedyż ja od tego wroga będę wolnym!!

Napiwon ręką tylko machnął, jakby powiedzieć chciał, że się tego ani mógł spodziewać. Wstał i oddalił się.

Szary został w miejscu jak przykuty, zasępiony, nie słysząc i nie widząc nic, tak go ta nowa napaść sąsiada zgryzła i przestraszyła.

A tu potrzeba było, powinności rycerskiej czyniąc zadość, iść z królem, który ludzi potrzebował jaknajwięcej...

Trzaska zaraz po twarzy mu poznał, że się czemś struć musiał.

— A tobie już Napiwon pewnie coś niedobrego powiedzieć musiał? — zapytał.

Jam z tem nie śpieszył, choć tyle wiem, co i on... Ależ to dla was chleb powszedni, gdy Bóg Bąkiem obdarzył.

— Żal mi mojego starego i żony, że ich w nie-

pokoju tem zostawić muszę, póki Bąk też na wyprawę nie pójdzie...

— Bąk zachorzeje, albo za siebie wyśle kogo — odezwał się Trzaska — właśnie dla tego, aby pod niebytność waszą dojadł staremu i żonie... Kto nie zna Bąka!!

— Gdybym Boga w sercu nie miał — począł Szary—dawnoby mu strzała w serce należała...

— Myślę — rozśmiał się Grusza — że gdybyście tylko mogli, powinniście go sprzątnąć, ale się on tak goły na bełt nie nastawi... Z nim trudna sprawa, jak zły tak chytry jest...

— Przyjdzie i nań godzina!—westchnął Szary.

Jakoż się przecież w namiocie przerzedzać zaczęło i Grusza, odprawiwszy resztę, opłotki zaciągnął, straż postawił a panu Florjanowi posłanie wskazał, aby spoczął.

Gdy po twardym śnie, zbudził się nasz podróżny, w obozie wszystko spało jeszcze, noc była... Jego teraz sen już nie brał, czekał poranka, aby Hebdy wyszukać i do domu się na krótki choć czas wyprosić.

Za wojewodą potrzeba było do miasta, bo stał gospodą u jednego z radnych, Heynucza z Nisy. A do niego się dostawszy Szary, gdy stękając, na czas do domu się prosił, wojewoda zrazu słuchać o tem nie chciał.

— Ja bez was, jak bez prawej ręki — począł wielce zaniepokojony...

— Miłościwy wojewodo, ale ja tu z troski zemrę. Wiecie mojego sąsiada, Bąka Nikosza, ten mi już znowu na starego ojca i żonę napaści czyni. Chcę choć zajrzeć a ubezpieczyć ich.

Tu się skłonił.

— Panie wojewodo — rzekł — na Boga miłego, poślijcie mu wici pod gardłem, aby się stawił do wyprawy. Przynajmniej i ja spokojniejszy pójdę, nie przemyślając noc i dzień, co się tam u mnie dzieje...

— Poślę za nim! uczynię co chcecie—zawołał wojewoda—ale bez was się nie obejdę.

— Wrócę wnet, bylem moich raz jeszcze zobaczył!—westchnął, prosząc się Szary.

Hebda ręką dał znak, że przyzwala, Florjan się pokłonił i wymknąwszy z namiotu, natychmiast na koń siadł, pędząc do domu.

VII.

Około zameczka, Surdęgą zwanego, od niepamiętnych czasów z szerokiemi pól i lasów obszary, należącego do rodziny zawołania Koźlarogi —na wzgórzu łysem stała długo pustką, chwastem porastająca kupa gruzów i węgla.

Powiadano w okolicy, że niegdyś Połowcy, wtargnąwszy tu zagonem, i darmo usiłując dobyć Surdęgę, na mniejszy ten gródek, do opanowania łatwiejszy, rzucili się, złupili go i spalili. Od tych czasów szmat ziemi do gródka należący leżał odłogiem bezludnym długo, tak prawie jak bezpański.

Ci, do których ziemia bez ludzi należała, niedbali o nią wiele, a mieszkali pono gdzieś aż w Łęczyckiem.

Koźlarogów zameczek czasu tego napadu utrzymawszy się a i ludność swą, co bliższą, ocaliwszy, po najezdzie Połowców, osadników mając, stał się kilku siół głową, należały doń Mojkowce, Wroników, Woźniki, w których kołodzieje siedzieli i Laski. Ziemi było dosyć, lasy obszerne, łąk nad Pilicą przestrzeń znaczna.

Gdy sąsiedni gródek, który podówczas Wilczą górką zwano, pustką stał, mało nie przez cały wiek,

a o grunta jego nikt się nie troszczył, granice pozarastały i zapomniały się, z Surdęgi ludzie od skrajów zarywali potroszę co lepszej a dogodniejszej ziemi.

Wypasano na łąkach trzody, i siano z nich zbierano, bo nikt tam nie zaglądał.

Ziemia bez ludzi, naówczas i długo jeszcze potem, była w bardzo nizkiej cenie.

Wioski z lasami i gruntami nabywano za kilka kóp groszy, za trochę sukna, kilka koni, lub bydła sztuk niewiele. Na Wilczej górze i jej gruntach nikt się nie sadowił, dlatego, że opiekiby nie miał, a dziedzice nic z tej ziemi nie mogąc wyciągnąć, prawie o niej zapomnieli.

Koźlarogowie byliby naówczas łatwo tę posiadłość nabyć mogli za lada co, ale z własnemi obszarami nie wiedząc co począć, bo i tych znaczna część pustowała bez osadników; nie troszczyli się o powiększenie majętności...

Mało naówczas zaludnione były ziemie polskie i ogromne ich przestrzenie lasami zarosłe, nieuprawne; tak jak do nikogo nie należały.

Każda wojna, obyczajem ówczesnym prowadzona, w ruch wprawiała ludność i wywoływała nowe osady. Przed najazdami Połowców, a później Tatarów, przed łupieżą Krzyżaków, wojnami takiemi, jak były z Czechami, którzy tysiące ludu zaprowadzali w niewolę, biedni ludzie gromadami zbiegali w lasy, a obawiając się często powracać na dawne, zagrożone siedziby, nowych szukali.

Naówczas widzieć było można, całe rodziny, z ubogiem mieniem, którego najcenniejszą część składały pracowite ręce, przywlekające się do tych miejsc, które lasy osłaniały, gdzie bujniej trawa rosła, kędy płynęły rzeki, wpraszające się na pustkowia...

Potrzeba było długich lat i spokoju, by z jednej pary ludzi rozrodziło się kilka lepianek i powstała osada.

Mięszali się tu ludzie różnych okolic i języków, których lata powoli jednoczyły.

Około miast zniemczałych, około klasztorów, naówczas jeszcze po większej części cudzoziemską barwę mających, tworzyły się małe osady kolonistów, z różnych części Niemiec przyciągających.

Nie wszystkie wioski były rolnicze, bo rola wiele pracy wymagała, a wiele nie dawała korzyści. Rolnik też najwięcej się opłacać musiał, dziesięcinę dawać, płacić z łanu, podwodę, przewód, stróże i różne pełnić uciążliwe powinności.

Niektóre osady rybackie były, inne rzemieślnicze, w jednych kołodzieje siedzieli, w drugich bartnicy, korabnicy, narocznicy, kowale i t. p.

Po za Surdęgą i Wilczą górą, za Pilicą, także duży ziemi kawał dzierżeli zdawna Leliwy. Ród był stary i rozprzestrzeniony wielce, niektórzy rycerskiego rzemiosła i zamożniejsi, inni myśliwcy, a wieśniacy, ludzie obyczaju prostego i nielubiący dworować.

Leliwowie krakowscy piastowali już wielkie dostojeństwa u boku królów, gdy tutejsi cicho siedzieli i woleli w lasach swych gospodarzyć.

Do żywota takiego prostego a swobodnego nawyknąć można, a kto go raz polubi, nie mieniałby na żaden inny. Wprawdzie na pańskich dworach dorabia się dostatku i czci; darowizny ziemi, bogactw i sławy, ale to wszystko opłaca się drogo, nie licząc krwi i żywota, który co dzień ważyć potrzeba.

Służyć musi, kto się chce dosłużyć, a nie każdy nagiąć się potrafi k' służbie, zwłaszcza, gdy sam dłużej panować nawykł. Naówczas ziemianin na swoich posiadłościach prawym królikiem był, sędzią i władzcą. Takiemi i Leliwy nadpilickie z dawien bywać nawykli.

Szło to z ojca na syna. Jeden musiał rycerską służbę pełnić, inni około domu tylko się kręcili a swojego państwa strzegli.

Rolnictwem się wówczas żaden ziemianin nie za-

bawiał, łanów dworskich tak jak nie było. Kmiecia sprawą bywało orać, siać i zbierać, osyp panu dać, siano panu zrobić, a z barci w lesie dań przynieść.

Dziedzic miał też swe barci i bartników, zwierza polował w lesie i skóry z niego sprzedawał, czasem stadniny wielkie trzymał... bydło, konie i owce.

Potrzeby były niewielkie, a gdy do tego co ziemia dawała, rycerz łup jeszcze z wojny przyniósł, zasobno było doma.

Leliwici na Lelowie, tak właśnie gospodarzyli, nie pragnąc wiele, a mając ile im było potrzeba.

Stary Bogusz Leliwa, który za młodu trochę wojował, a potem już siadł doma, zwaśniwszy się o coś z wojewodą, synów miał dwu i córkę Domnę. Starszego syna dał na rycerską sprawę, ten królowi Łoktkowi służył, nie wiele skorzystawszy na wyprawach swych, bo te łupu nigdy nie przynosiły, a krwawe bywały. Młodszy przy ojcu siedział, z nim do lasów jeździł i polował, a ziemi swej pilnował.

Dwór był stary i jak chata prosty a niewytworny. Przybudowywano doń gdy było potrzeba, podpierano ściany, naprawiano chaty i tak się tam żyło.

Matka póki żyła wychowywała córkę Domnę, a wszyscy, ojciec, brat i ona pieścili ją, bo było dziecko osobliwszej piękności i rozumu.

Brat matczyn, która z rodu Jaksów była, księdzem został i aż do włoskich ziem uczyć się wędrował, a powrócił świadomy wszystkiego, co na świecie się działo, w piśmie biegły, pobożny i rozumny, tak że go do wielkich dostojności w kościele posuwać chciano. Lecz tych odmówił, na probostwie w Sieradzu siadł, i tam się, jak mówiono, w pargaminach grzebał, a drugie i sam pisał i malował.

Tenże do siostry swej, żony Leliwy, przywiązanym był, często tu w lasy zjeżdżał, kapliczkę sobie drewnianą przy dworze sklecił, w niej mszę odprawiał, a gdy dłużej w Lelowie przesiadywał, młodych nauczał, a starych zabawiał i rozumne im dawał rady.

Ten siostrzenicę swą Domnę polubiwszy dla rozumu, gdy bracia jej, rychło bardzo po lasach hasać zaczęli, i księdza niebardzo słuchać chcieli, uczył wszystkiego i prawie sam wychowywał.

Umiała też więcej niż matka, ojciec i bracia, a wiedziała o ludziach, krajach, o Bogu i o świecie bożym lepiej niż oni. Stary kapłan tak się nią cieszył jak dziełem rąk swoich.

Lecz gdy dziewczę podrastało, a już można się było troskać, komu ją dać, bo doma na zawsze pozostać nie mogła, wuj kapłan, ojciec i matka patrząc na nią, wzdychali potajemnie frasując się komu się taka perła dostanie, aby na niej poznał się i ocenił ją.

Ksiądz wuj po księżemu radził, aby co najlepszego dom miał panu Bogu ofiarował i do klasztoru ją poświęcić, bo w nim według niego największa ją czekała szczęśliwość i pokój niczem nie zamącony.

Matce żal było dziecięcia, ojciec nie mówił nic. Możeby wuj nakłonił rodziców do tej ofiary, lecz w czas się opatrzył, że Domna, choć pobożna bardzo, do klasztornego życia powołania nie miała.

Piękne dziewczę złotowłose, żywe było, zrosło wśród lasów i wsi, na szerokich polach, na łąkach zielonych; obracając się swobodnie, w ciągłym ruchu i zajęciach, przy śpiewkach i gadkach wieczornych, klasztor ze swą ciszą jednostajną ją przerażał.

Ksiądz, który dla tego może mury klasztorne radził, że się nadzwyczajnej piękności siostrzenicy dla niej samej obawiał, napróżno probując nawrocić ją, naostatek zamilkł i Bogu zlecił dalsze losy.

W tym czasie jakoś, gdy piękne dziewczę dorastało, jednego wieczora zjawił się w Lelowie człek młody, z rycerska ubrany i uzbrojony, ale sam jeden bez czeladzi, zmęczony, poraniony, składając się tem, że na wyprawie był ranny i od nieprzyjaciela z niewoli zbiegł, o przytułek prosił.

Gościnności nikomu nie odmawiano, przyjęto go więc, choć nikomu się nie podobał. Patrzał z podełba,

mruk był, a to co o sobie powiadał, nie jasne było i nie wszystko z sobą zgodne.

O pochodzeniu nawet swem nieumiał dobrze objaśnić, raz Mazurem się zowiąc, jakoby ród jego tam siedział, to znów od Sandomierza się opowiadając, kędy też plemienników miał. O wyprawie tej w której rannym był, taże mętne rzeczy prawił i nie rad się o niej rozgadywał.

Możeby to gdzieindziej podejrzenie jakie obudziło, lecz Leliwowie, ludzie prości a łatwowierni, tyle tylko porozumieli, iż biedny człek nie rad był wspominać to co go bolało.

Gdy się nieco wylizał i spoczął, a odjeżdżać nie myślał, stary pan począł go z sobą brać na łowy i bardzo był z niego rad, bo śmiały, zręczny i zuchwały niemal, dobrze mu służył — konie najdziksze dosiadał, z oszczepem szedł sam na odyńca i na niedźwiedzia, a do niczego się nie lenił.

Tak jakoś nieznacznie w dom ten wrósł, najwięcej się staremu wysługując, że już jakby domownikiem i powinowatym został. Młody go nie zbyt lubił, ale znosił.

Ksiądz parę razy go tu spotkawszy i nieznacznie wybadawszy, starego szwagra począł ostrzegać, aby nieznanego przybłędy nie żywił, a dał mu odprawę, stary nie posłuchał.

Tymczasem zmarło się matce Domny, dom opustoszał, wdowiec ze smutku więcej w lesie niż pod strzechą — a Nikosz stawał mu się coraz potrzebniejszym i przylizywać mu się umiał.

Tymczasem patrząc codzień, na to cudo, dziewczę, które jak różyczka rozkwitało, i coraz się stawało piękniejsze, przybłęda ku niej miłością wielką rozgorzał.

Ludzie tego nie widzieli, dziewczę się jedno domyśliło i ulękło, bo dziki ten chłop od pierwszego wejrzenia wstręt w niej budził i obawę. Stroniła też Domna od niego, nie rada się z nim spotykać nawet zdala, a przebiegły Nikosz tak umiał zachodzić, czyhać na nią, domyślać się kędy jej szukać, i gdzie ją mógł znaleźć samą, iż mu się wymknąć było trudno...

Już naówczas z różnych stron poczęli się ludzie ze swaty i dziewosłęby zjawiać do Lelowa. Stary, choć mu córki z domu srodze było żal, nie rozpędzał ich, bo rad był wydać za mąż, aby o nią być spokojnym.

Wiano obiecywało się po matce znaczne, dziewczę było piękne, ród zacny i stary, gniazdo poczciwe na chłopakach też nie zbywało.

Nikosz, który przy starym i na łowach i w domu ciągle przesiadywał, a zabawiał go i kładł mu co chciał do uszu—tak umiał nieznacznie zawsze na każdego co na Domnę spojrzał coś podszepnąć, iż do wszystkich Leliwę zrażał.

Czy wiedział tyle o tych młodych, czy kłamał zręcznie, dojść było trudno — a u starego wiarę zyskiwał. I im dłużej to trwało tem w domu przewagę większą brał i bali się go wszyscy, bo na każdego donosił i skarżył.

Piękna Domna, za którą się uganiał ciągle, jako mogła od niego uchodziła i z oczów jej czytać mógł że łaski u niej nie miał.

Wcale go to jednak nie zrażało, im się ona zręczniej starała go unikać, tem usilniej zachodził jej drogę.

Przyszło do tego wreście, iż raz ją ze starą piastunką w lesie napędziwszy, choć zaraz się z nią w stronę rzuciła—pogonił i z wielkiem zuchwalstwem oświadczył jej, że ją miłuje, i choćby dziesięciu trupem położyć przyszło — nie dopuści do niej nikogo, a mieć ją musi za żonę.

Domna mu naówczas ostro odparła, że powinien pamiętać, iż sługą jest, i że ojcu się nań skarżyć będzie, jeśli się kiedy narzucać jej ośmieli.

Na to Nikosz śmiechem odpowiedział, iż sługą jako żywo nie był, ale przyjacielem, że ziemianinem równym z Leliwami się czuł, i że od swojego nie odstąpi-

Stara piastunka nie dała mu więcej mówić i zagroziwszy precz odpędziła.

Domna wówczas spłakała się powróciwszy do dworu, bo człek ten strachem ją nabawił, ale ze skargą do ojca się wstrzymała, nie chcąc go jątrzyć więcej. Sądziła, że sama groźba starczy. Następnych dni jednak przekonała się, że Nikosz wcale na nią nie zważał, i jak dawniej zabiegał kędy mógł, kroku jej stąpić nie dając.

Gdy się to działo, stary Dalibór Koźlarogi z Surdęgi, z którym od młodzieńczych lat Leliwa w drużbie żył i pobratymstwie, gdy mu syn Florjan dorastał, a o Domnie i jej piękności zasłyszał, pojechał naprzód sam do Lelowa.

Nie zastał doma starego i czekać nań musiał aż z łowów powróci, ale mu się poszczęściło, bo Domnę zobaczył i ona go przyjmowała.

Mógł się więc i piękności napatrzeć i rozumowi nadziwić. I rzekł sobie w duchu, że błogosławieństwem bożem byłaby żona taka dla syna jego.

Czekał więc na Leliwę do nocy, a gdy ten przybył rzucili się sobie w ramiona, jako dwaj bracia rodzeni i do późna we dwu rozmową się bawiąc, do syta nagadać nie mogli.

Nikosz, coś przeczuwając, choć go Leliwa precz odsyłał i zbyć się chciał, to u progu; to za drzwiami stał, czatował, podsłuchiwał; wchodził niewezwany i ucha bacznie nadstawił.

Wiedział on już, że Dalibór syna miał i bystro przejrzał, że dla niego tu przyjechał.

A tu mu i na gościa tego i nic skłamać nie było można, bo starzy dobrze się z sobą znali, i wiedzieli o sobie.

Drugiego dnia dopiero wrócił Dalibór do Surdęgi, a wprędce jakoś z synem już przyjechał do Lelowa, aby go przyjacielowi pokazać.

Florjan nie podobnym był do wesołej a ochoczej

nad miarę młodzieży, która wprost z podwórca ojcowskiego do pułków się dostawała, nic nie umiejąc krom pacierza, Bogarodzicy, toczenia z kopią i obchodzenia się z koniem.

Ojciec go posyłał do Krakowa do szkoły biskupiej, z czego się drudzy śmieli, prześladując, że chyba księdzem chciał go mieć. Tymczasem w szkole on konia nie zapomniał, a wielkiego statku nabrał, spoważniał i gdy z kolei rycersko służyć począł, lepszego nadeń żołnierza nie było.

Niepięknym był, ale twarz miał poważną przed czasem, miłą, spokojną jak wszyscy mężni. Patrzał śmiało w oczy i dawał sobie zaglądać, nie mrużąc ich. Choć młody nadawał się do starszych, a z rówieśnikami też żyć umiał. Każdemu się podobać musiał, choć nie starał się o to zbytnio...

Leliwa też niemal już jak syna go przyjął, a przez dzień cały, który tu przebyli z oka nie spuścił. Wyszła i Domna z rozkazania ojcowskiego, i już się domyślając na co ją wołano, zarumieniła i strwożyła wielce. Prędko jednak ocknęła bo młody Florek skromny i cichy, nie porywczy, podobał się dziewczynie.

Więc, choć do siebie prawie mówić nie mogli, oczyma się porozumieli.

Wszystko to zazdrosny Nikosz widzieć musiał i do wściekłości był doprowadzony, lecz zmilczał.

Młodemu dozwolono do Lelowa przybywać i już o weselu szeptano. Probował coś Nikosz podszepnąć na Szarych, ale mu się to nieudało. Zgromił go Leliwa i milczeć kazał.

Niedał po sobie poznać zdrajca, że go gniew i złość ogarnęły, lecz przypodchlebiając się znowu staremu, zatarł swoją winę gorliwszą posługą.

Jednego razu gdy konno sam bez sług powracał do Surdęgi Florjan i już się miał na promie przez rzekę przewozić, dognał go na drodze Nikosz. Widzieli się wprzód w Lelowie zdala...

Zajechał mu z przełaju.

— Czołem!

Florjan zobaczywszy go myślał, że za nim był ze dworu posłany i stanął.

W tem Nikosz, z konia nie zsiadając zbliżył się doń.

— Mam do was sprawę własną, odezwał się szorstko. Posłuchajcie mało.

Nie wiele mówny Szary dał znak, iż słuchać gotów.

— Ziemianin jestem i służyłem rycersko, począł Nikosz. Od lat dwu przyjacielem jestem i sługą Leliwy. W córce jego Domnie rozmiłowałem się, a i ona mi krzywą nie jest. Pierwej tu zajechałem niżeli wy, a teraz chcecie mi ją wziąć z przed nosa... Na to ja zezwolić nie mogę. Możem uboższy od was, ale bogactwo praw nie daje. Nie zechcecie mi dziewki odstąpić, siłą bronić będę praw moich.

Florjan spojrzał nań zdziwiony i po małym namyśle, rzekł.

— Ja wam nie odbieram dziewki, ale u ojca o nią się staram, jak przystało... Do ojca idźcie z tem nie do mnie.

Wreszcie Domna jeśli mnie nie chce, a wam sprzyja, może to objawić... gwałtem jej nie zabiorę.

— Otóż to jest zakrzyczał Nikosz, że dziewczyna sromać się będzie, ojca się lęka, słowa tego nie powie. Więc ja jej i siebie bronić muszę.

Uderzył się po mieczyku.

— Małym jest i nie wydaję się strasznym — dodał — a no zawierzcie mi, wścieklejszego człeka na świecie nie ma nademnie.

— A ja się wściekłych ni ludzi, ni zwierza nie nawykłem bać — zawołał Florjan i konia naparł aby jechać, a Nikosz mu drogę zaskoczył.

— Rozmyślcie się—dodał—jam życie stawić gotów, a dziewki sobie wydrzeć nie dam.

Florjan nie odpowiadając na to, spojrzał nań tylko ostro, usta zacisnął i zawołał nakazująco.

— Z drogi!!

Niewiedzieć jak się to stało, że groźny ów pachoł, choć zbielał i zatrząsł się, ustąpił z koniem, a Szary nie patrząc już nań jechał dalej do przewozu.

Przybywszy do Surdęgi zaraz ojcu wszystko jak było opowiedział; na to najbardziej nastając iż służka ów śmiał utrzymywać jakoby z dziewczyną był w porozumieniu.

Szary temu wierzyć nie chciał, a Florjan też, który jej w oczy tego dnia patrzał i w rozmowie z nią mógł ją najlepiej poznać, nie posądzał o udawanie i kłamstwo, bo mu się sprzyjać zdawała jawnie.

Nazajutrz stary Dalibor sam śpieszył do Lelowa z tą sprawą, bo mu żal było tej żony dla syna upatrzonej.

Czatował widać już Nikosz na drodze przeczuwając coś, bo gdy Szary przybył a wytoczyło się wszystko przed ojca i Domnę powołano, która z płaczem opowiadała, piastunkę na świadectwo wzywając, jak zuchwałym był ten sługa niepoczciwy—wnet po niego ludzi posłano, aby się stawił, ale już nigdzie go ani we dworze, ani w okolicy nie było ani śladu, koń tylko najlepszy ze stajni i rząd nań i siodło znikło.

Myśleli więc wszyscy, że na tem się skończy szataństwo tego przybłędy, który za przytułek tak się Leliwie chciał wywdzięczyć. Uspokoili się, a dwór który donosiciela nie cierpiał, rad był, że się go pozbywał.

Nastąpiły więc zrękowiny uroczyste, czas ślubu i wesela został wyznaczony jakoś w porze jesiennej, do których przybory czyniono wielkie, bo córka była jedynaczka, ród liczny, zjazd musiał być wielki, a wesele mniej dni dziesięciu trwać nie mogło w owe czasy.

Szary też na Surdędze gotować się musiał na przyjęcie państwa młodych i wszystkich gości. O głupim Nikoszu zapomniano zupełnie i wyśmiewano się zeń. Jeden tylko stary Leliwa, któremu on służył pilno, czasem narzekał że mu go brakło.

Jednej nocy letniej, gdy we dworze spoczywało wszystko, a z młodym Leliwą co rycersko służył i właśnie tego wieczora niespodzianie do ojca przybył w odwiedziny, kilku czeladzi zbrojnej razem zajechało, nagle krzyk się stał i wołanie o pomoc od niewieścich izb...

Kilkunastu rabusiów wdzierało się do dworu. Nim jednak zdołali okiennice powyłamywać i drzwi wywalić, Leliwa i jego czeladź z kordami poskoczyła... Nierówna była walka bo napastnicy liczbą przeważali, lecz czas zyskano, a wnet i co żyło we dworze na nogi się pozrywało.

Tymczasem, lepiej znający miejscowość Nikosz, który ten napad sprowadził, gdy jego ludzie się ucierali, z tyłu wpadł do izby Domny, chwycił ją z łoża i chciał już unieść przestraszoną, gdy Wojtek Leliwa nadbiegłszy na krzyk w łeb go rąbnął tak iż mu się dziewczę wyrwało.

Musieli uchodzić napastnicy... unosząc z sobą rannego Nikosza...

Ścigano potem w okolicy rabusiów tych i ich wodza, po lasach, po gościńcach, bo Florjan pomsty chciał koniecznie, połapano niektórych, dwu obwieszono, lecz sam sprawca nie wpadł w ręce. Byli znowu pewni, że nauczony nie pokaże się więcej.

Nadszedł czas wesela, zjechało się rodziny dość, ale nie tyle ile się jej spodziewano, bo wojna była i królowi ludzie potrzebni. Nie zbyt więc gwarno i tłumno było w Lelowie, a zjechali się po większej części starzy, którzy na wyprawę iść nie mogli.

Trwało wesele jak było we zwyczaju dni kilka i dopiero dziesiątego nad wieczór cały orszak weselny wybrał się do Surdęgi.

Jechali tedy oboje państwo młodzi na koniach, otoczeni przyjaciółmi, czeladzią, z muzyką na przedzie. Na wozach za niemi w skrzyniach malowanych i kutych wieziono wiano pani młodej jak przystało dla Leliwianki bogate, tak, by przez całe życie od męża nic nie potrzebowała... Było i wino i miód dla gości na wozach, któremi podczaszowie wybrani częstowali.

Wieczór był pogodny i piękny, ale z Lelowa z wyjazdem się spóźniono, tak, że w bliskim lesie, który od rzeki przegradzał, ciemno się już zrobiło. Służba więc pochodnie miała rozpalać i na chwilę się zatrzymano, gdy, z lasu kilkudziesięciu zbrojnych wypadło z mieczami dobytemi, wprost na bezpiecznych i niczego się nie obawiających gości.

Jedni zaraz na wiano się rzucili, a kupka w której Florjan poznał Nikosza, na panią młodę.

Stało się zamięszanie wielkie i była chwila trwogi, lecz czeladź się opamiętała wprędce, a Florek z Wojtkiem Leliwą padli na głównego napastnika. Nie było jednego z gości, któryby stał bezczynny lub pierzchnął, jedni miecza dobyli, drudzy czem kto miał i mógł bronili się dzielnie. Służba pochodnie tylko co zapalone koniom i ludziom do łbów rzucać zaczęła i choć rozbójnicy zacięci byli, zrąbano ich kilku a reszta uciekła. Nikosza widziano gdy krwią cały oblany ujechał.

Tych których żywcem chwycono, zaraz krótkim sądem powieszano na dębach i w godzinę pochód cały ze śpiewaniem i muzyką, zwycięzko dalej jechał do Surdęgi, bo nikt do Lelowa powracać nie chciał.

Ze strony pana młodego, on sam w rękę był cięty, brat Domny głowę miał rozpłataną i ludzi kilku ciężko było rannych... Tych na wozy pobrano do skrzyń, a że napaść opóźniła ich, niemal nad ranem dopiero przybyli młodzi do domu...

Krwawe to było wesele, lecz się dla tego rado-

wali mu wszyscy i ucztowanie w Surdędze przedłużyło się jeszcze dni kilka.

Pewni byli Leliwowie, że niepoczciwy człek, który się tak zuchwale na nich śmiał porywać, dobrą naukę wziąwszy, nigdy więcej na ten świat się już nie pokaże.

Jeden Florjan Szary, choć nie wiele się tem frasował, pewien był, że z Nikoszem rzecz nie jest skończona.

Gdy się rozgłosiło o nim, a szukano go i dowiadywano się, doszli ludzie wreszcie kto był i że kędyś około Sandomierza ubogiego ziemianina syn, rycersko nie służył nigdy, ale z ojcem razem po gościńcach rozbijał...

Nie było to rzadkością w owych czasach, zwłaszcza w Niemczech, gdzie obyczaj trwał napastowania i odzierania podróżnych. W wielu też okolicach i w Polsce działy się takie bezprawia, za które i Czesi, czasu swego panowania wielu ziemian wywieszali i Łoktek ich nie żałował.

Nikosz ten z młodu zaprawny do rzemiosła, mógł i dalej go nie rzucać, lecz szczęśliwszego sobie placu szukać, gdy tu mu się nie wiodło.

VIII.

Nie było pewnie na szeroką okolicę szczęśliwszego małżeństwa nad to krwawe, ani lepiej dobranej pary. Wprawdzie szczęśliwemu Florjanowi długo siedzieć w gnieździe nie dał wojewoda. Raz w raz go potrzebowano, musiał ledwie zsiadłszy z konia na drugiego się przesiadać; ledwie przywitawszy się żegnać.

Naówczas Dalibor zostawał na straży grodka, domu, żony i gospodarstwa, a Domna też mu pomagała.

Piękna młoda pani była i pracowitą i mężną, jak przystało żonie wojaka. Cały dzień nie przysiadła i nie spoczęła, albo z dziewczętami swemi przędąc i śpiewając, lub ojca zabawiając, porządek czyniąc w domu, wreszcie modląc się bo, choć do klasztoru iść nie chciała, pobożną była bardzo.

A ta pobożność jej i praca była przedziwną, okraszoną wesołością, pogodą oblicza, uśmiechem spokojnym, niewinnym, dziecięcym niemal, który z ust jej nigdy nie schodził.

Stary Dalibor patrząc na nią jak się śpiewając krzątała po domu, płakał z radości. Ludziom też to wesele pani serca dodawało... Miłowali ją wszyscy, a przez tę miłość obawiali się razem. Słowo jej za rozkaz starczyło najsroższy i czego czasem Dalibor nie mógł postrachem, ona zrobiła spojrzeniem.

Kilka miesięcy zeszło tak w niczem nie zamąconem szczęściu, gdy dnia jednego wiosną powracając z pola włodarz, oznajmił Daliborowi, iż—coś się osobliwego działo na Wilczej górze.

Opowiadał iż ludzie tam jacyś zjechali, naprzód na oględziny, potem z wozy i końmi i jakby sobie obozowisko zakładali.

Od wielu lat nikt tam się nigdy nie dowiadywał, pustką stały rumowiska... bezpańskiemi pola do koła, naraz znalazł się pan.

Pod samym bokiem Szarym nie miły to był gość przy niepewnych granicach. Posłał naprzód stary włodarza aby języka dostał, co tam byli za goście.

Włodarz, którego wołano Wnukiem, człek już siwy i bywały, konia wziąwszy, i niby pola sobie objeżdżając, zajechał pod Wilczą górę. Ludzi na niej leżało ze dwudziestu, wszystko zbrojni, chłop w chłopa zdrowi i silni. Zobaczywszy go, jeden wstał i zagadnął czego chce!

— Jam tu z sąsiedztwa, odezwał się Wnuk, patrzę co nam za nowina przybyła, bo tu z dawien dawna nikt nie gościł.

— No, a teraz za wszystkie czasy będziecie mieli sąsiadów i gości — zaśmiał się ten co z nim rozmawiał, człek z kilką szramami i bliznami przez łeb naznaczony.

Popatrzali na się.

— Coście to, kupili czy odziedziczyli? — zapytał Wnuk.

— Kupiłem — odparł zuchwale zapytany i tęgom zapłacił—pargamin mam jak należy, pod pieczęcią przy świadkach... a kto czytać nie umie, to mu żelazem prawo swoje wytłomaczę.

— A nie wolno wiedzieć jak was mianują? — rzekł Wnuk cierpliwie...

— Swego czasu się dowiecie! — zaśmiał się porąbany odchodząc.

Koźlarogom trochę było nie na rękę dostać sąsiada, gdzie dawniej sami gospodarzyli na bezpańskiem, lecz że żadnych praw do Wilczej góry nie mieli, musieli cierpliwie znosić co się tam działo.

Krzątano się bardzo gorąco około pustego pagórka, na co z Surdęgi patrzeć było można, bo oko sięgało łatwo do niego. Ludzi miał z sobą nowy dziedzic kilkudziesięciu, i wozów kilka. A choć na nich sobie zapasów przywieźli i co było do życia potrzeba, nie bez tego ażeby czegoś nie zabrakło im. Naprzód więc niektórzy z ludzi zaczęli dochadzać do Woźnik, aby sobie piwa dostać i świeżego chleba kupić.

Wnuk, który pod ten czas objeżdżał lasy, jednego z nich zastał w gospodzie w Woźnikach. Człek był nie młody i okrutnie porąbany, bez palców u ręki, bez jednego oka, nakuliwający na nogę, ale zuchwały jak zbój.

Chcąc się coś dowiedzieć o Wilczej górze, Wnuk go piwem poczęstował, aby na słowo wywabić. Człeczysku podpiwszy język się rozwiązał.

Naprzód się tedy wygadał, że oni ze swym starszyzną, jak on to nazywał uśmiechając się, długo po gościńcach polowali, tu i owdzie, ale że im się wreszcie życie to naprzykrzyło, bo ich teraz ścigano i bardzo prześladowano. A że się ich starszy dorobił trochę grosza, w tej okolicy koniecznie pragnąc się osiedlić, zasłyszawszy o pustej Wilczej górze i gruntach do nich należących, pojechał do właścicieli i kupił ziemię tę za pięć kop groszy, cztery konie i sztukę szkarłatu, którą niegdyś u kupców na gościńcu złupił.

Starszego swojego zwał zbój Nikoszem Bąkiem i rozpowiadał o nim, że śmielszego i zuchwalszego nad niego na świecie nie było.

Kolnęło to Wnuka, gdy imię usłyszał, iż Nikosz musiał ten sam być, który w Lelowie przebywał i o Domnę się dobijał, a potem na jadące wesele napadł; lecz nie dając po sobie znać, pojechał ztąd precz do Surdęgi.

Tu gdy Daliborowi rozpowiedział wszystko a opisał mu widzianego wprzód Bąka, nie było już wątpliwości iż ten sam Nikosz był, który się na ich spokój nasiadł, a pewnie i teraz nie dla czego innego w Wilczej górze się zagospodarowywał, tylko aby im życie zatruć.

Musiano więc zaraz pomyśleć o obwarowaniu się na zamku, bo i napaść nocna i rabunek i wszelki gwałt był możliwy.

Na granicach się też musiano pilnować, bo zaraz do lasów pojechali ludzie z Wilczej góry z wozami i w puszczy Surdęskiej drzewo rąbali.

Kazano łąki pozatykać i rubieże poznaczyć.

Nazajutrz znaki graniczne powyrywane i połamane znaleziono. Wojna się poczynała.

Ale to były dopiero jej zwiastuny, bo do starcia nie przyszło. Stary Dalibor go unikał.

Na Wilczej górze tymczasem na gwałt budowano, zwożono drzewo, ciosano, oczyszczano gruzy, sypano wały, zrobiono na przekopie most i bronę, a na podzamczu gdzie niegdyś stała osada, dla ludzi swych szałasy i lepianki klecić począł nowy dziedzic.

Ludzie ci jego, że sami byli i nie mieli z sobą baby ani jednej, żeby im chusty poprała i jeść zwarzyła; ruszyli zaraz szukać sobie towarzyszek i w Surdędze dowiedziano się, że jednego dnia w pięciu się puścili na upatrzonego za Pilicą i przy ruczaju, gdzie z Wulki dziewczęta i niewiastki przychodziły prać bieliznę, porwali jedną piętnastoletnią dziewkę, a drugą zamężną młodą, na koń je poprzywiązywali i uprowadzili.

Puściła się za niemi pogoń, ale wieśniacy źle uzbrojeni pobić się dali, a dziewczynę i niewiastę uwieźli zbóje... trzymali je na zamku do czasu i, choć się o nie upominano, wydać nie chcieli. Tak się i zostało.

Trwoga poszła po osadach okolicznych, że się już pilnowano wszędzie od tych rabusiów... Oni też za trzecią dziewczyną pono wyjechali dalej i od trzody porwali o mil kilka, a tak uszli z nią, że i gonić nie było wiedzieć dokąd.

Na pagórku wkrótce stanął zrąb dworu, który żółciał zdala. Czuć już było sąsiada, bo nad granicą umyślnie ludzie jego szkody zdawali się wyrządzać, ale do bitki jeszcze nie przychodziło. Odgrażał się tylko Dalibor i pan Florjan... Choć się domyślali Nikosza, nie byli pewni, bo go w oczy nie widzieli.

On też z napaścią nie śpieszył, bo słabszym się czuł, ludzi miał niewielu. Tymczasem tylko ściągał osadników, posyłał i już na skraju lasu małą osadę zakładał, którą Cieślakami zwano, bo najwięcej tam było tych, co około dworu robili z toporami.

Jeden w drugiego ludzie tego Bąka dobierali się wszyscy drabi i rabusie, tak, że od nich w Woźnikach, we Wronikowie i w Laskach ciągle się musiano mieć na baczności, bo, choć chwytać ich było trudno, ciągle coś ginęło, to sztuka bydła, to koń, to wóz na polu zostawiony, a nawet całe stogi siana. Niepomogło to, że ślady wiodły na Wilczą górę, bo kto

poszedł ze skargą, to go zhukano, zagrożono i przepędzono.

Barcie w lesie wydzierać zaczęto, a pomniejszych szkód nie można było zliczyć.

A to gniazdo paskudne około Wilczej góry tak szybko rosło jak żadna jeszcze osada, którą tu ludzie pamiętali. Niewiedzieć zkąd się ta gawiedź brała. Miał między swemi pierwszemi towarzyszami Bąk takich ludzi, że gdy który z nich pojechał, a jeździli ciągle; zawsze z sobą kogoś, parobka lub babę, lub chłopię wyrostka przyprowadził.

Rozpowiadali Wnukowi, który się o to pilno dowiadywał, że Bąk z dawnych grabierzy pieniędzy pono miał dużo i różnych kosztowności, i że z niemi do Sandomierza, do Krakowa i aż do Nowego Sądcza posyłał, a niewolników kupował u żydów, którzy niemi handlowali. Więc to tam byli z całego świata zbierańce, różnego języka i krwi, z postrzyżonemi łbami, tacy, o których wiedziano, że zwykli byli zbiegać, pokuci w dyby drewniane, z któremi do roboty chodzić musieli i na noc im ich nie zdejmowano.

Tak w krótkim czasie namnożyło się około Wilczej góry tych przybłędów i w Surdędze zaczęło być coraz od nich niebezpieczniej i niewygodniej.

Czasem ów Bąk puszczał się na łowy w lasy, nie pytając granicy lub umyślnie jej nie szanując, i bujał po puszczy Surdęskiej, a na gorącem go złapać nie było można, choć się zasadzano nań.

Jednego razu, gdy Florjan Szary sam polował u siebie, zasłyszawszy cudzą trąbkę, puścił się zaraz gonić napastnika, domyślając się kto był. Samotnie jechał. Tamten czy się nie spodziewał, czy nie chciał uchodzić, stał w miejscu, potrębując i tak go Szary przydybał na polance. Na pirewsze spojrzenie poznał w nim Nikosza...

Stanęli tedy nieopodal od siebie, jakby się namyślając, co mieli począć. Szczęściem Nikosz sam jeden

był, a Szary dwóch miał ludzi, nie zaczepił go więc zbój, tylko ryknął doń.

— Poznałeś mię?

Nic na to nie rzekł Szary.

— Znajże, iż ja tu nie dla kogo jestem, ino dla ciebie, aby ci spokoju nie dać zażyć. Będziesz mnie miał dzień i noc pod bokiem, jak kamień w łożu. Wziąłeś mi dziewkę, którąm mieć chciał, jeszcze ci ja ją może, choć niewiastę, odbiorę. Dwa razym się przez was krwią oblewał, oblejecie się wy i posoką i łzami...

To mówiąc, pięść wystawił przeciwko Florjanowi, zawrócił konia i w las pojechał. Szary za nim strzałę puścił i psami swemi poszczuł, ale nie trafiła go strzała i psy nie nagnały.

Od tego dnia prawie zaczęło się między Surdęgą a Bąkiem, bo tak Wilczą górę zaczęto nazywać, nieustająca wojna.

Trzeba było mieć się na pieczy ciągle od nich, a i samemu często napadać, by swoje odebrać, albo za szkodę sobie wetować. Najwięcej na tem ludzie w Woźnikach, w Laskach, we Wronikowie a nawet w Mojkowcach cierpieli, bo panu chcąc dokuczyć, na nich się jako bezbronnych rzucali zbóje. Zabijano, okradano, łupiono...

Szary często w domu nie bywał, więc ojciec trzymał się tylko obronnie i opędzał, jak mógł. Bywało, że Bąk ludzi swych zebrawszy kupą, podjeżdżał pod zameczek w Surdędze, niemal pod wrota i stawał albo się rozkładał obozem, odgrażając, wywołując... a szydząc, żeby mu Domnę wydano...

Czasem Dalibor z małą garścią swoich musiał się z za ostrokołów odstrzeliwać im, aby się pozbyć, nim by z sąsiedniej wioski ludzie nadeszli.

Naówczas sama Domna zagrzewała dwornię i łuki im brać kazała.

Pod jedną niebytność Szarego, Bąk na Woźniki

najechawszy, gdy ludzie zaraz w lasy zbiegli, chaty zrabował i spalił.

Gdy Florjan powrócił, rozsierdził się tak, że mu tego podarować nie mógł. Zebrał więc co mógł swoich, najwięcej z tych rozpierzchłych z Woźnik, dobrze ich uzbroił, i z pachołkami dworskiemi najechał w biały dzień na podzamcze Bąka.

Wypadł sam Nikosz na obronę i przyszło do starcia na miecze, ale ludzi miał dobrych Szary i był dnia tego silniejszy, tak, że Bąka zmusił uchodzić za bramę do gródka, a na podzamczu co było chat, kazał pod nie ognia podłożyć, mszcząc się za Woźniki, i sam stał, pilnując aby nie ratowano.

Jeszcze się po tej klęsce gorzej rozjadł Nikosz i jego ludzie, tak, że między osadnikami jego a Florjanowemi już pokoju nie było, do spotkania rwali się na siebie i mordowali.

Zapalono nocą chaty w Mojkowcach, ale się je odratować udało.

Spłonęły stogi na łąkach u Szarego, popalono, co było około Wilczej góry. Ale tu nie wiele się dało zniszczyć, bo zawczasu swoje siano na zamek pościągali.

Inaczej jak zbrojno nie wyjeżdżał z nich żaden za wrota. Najgorzej to dopiekało Szarym, że im wciąż w uszy krzyczał zbój, że Domnę odbierze, choćby dziesięć lat musiał na nią czatować. Mężna niewiasta nie mogła prawie wynijść z zamku, gdy męża nie było; i musiała nóż u pasa nosić zawsze, jak mężczyzna, bo od Nikosza i we własnym domu bezpieczną się nie czuła.

Życie na zamku w Surdędze stało się Nieznośnem.

Byłby na to zaradził może Florjan, raz się z przyjacioły namówiwszy i z rodziną a powinowatymi, aby Wilczą górę osaczyć i zbója wziąć a do królewskiego sądu odstawić. Lecz na to czasu nie miał nigdy, bo ledwie wrócił z wyprawy jednej, już na drugą wołano.

Czasy takie były za Łoktka, iż co lepszemu rycerstwu, jeżeli nie na kresach, to kędyś w domu trzeba było bić się, aby nie dać się wybić z pod jednego panowania buntującym. Gościem więc był w Surdędze pan Florjan, a może to zło, iż szczęścia domowego nigdy długo zakosztować nie mógł, na dobro się obracało, bo mu ono tem dłuższem było.

I miłość a zgoda między małżeństwem była taką, jakiej trudno gdzieindziej znaleźć na świecie. Więc te dni skąpe, które spędzał Szary u siebie, złotemi mu się wydawały, a przelatywały jak sen złoty.

Domna, która niegdy dziewczęciem piękną była, po narodzinach pierwszego syna, jeszcze wypiękniała i jakby się dopiero taką okazała jaką powinna była być dojrzałą.

Pozostał jej ów wdzięk niewinności dziewczęcej, jaki miała wprzódy, a przybyła powaga macierzyństwa i jego szczęście, które na pięknej twarzyczce świeciło jakby blaskiem błogosławieństwa bożego.

Gdy we wrotach oznajmiono o powracającym Florku, wziąwszy synaczka na ręce, z piosenką na ustach, z weselem na czole wychodziła przecim niego żona, tem większą okazując radość by nie troskał się o to co pod niebytność jego przecierpieć musiała.

Nie poskarżyła się nigdy mężna niewiasta, aby mężowi serca nie zalewać goryczą; a gdy stary Dalibor czasem, jako to zwykle jego wieku ludzie czynią, narzekaniom nie znał miary, zamykała mu usta łagodnie, pieszcząc, przerywając, odwracając rozmowę, aby Florjan w domu mógł trochę zażyć spokoju.

A właśnie tak tu było trudno o to!!

Myśleli Koźlarogi, że złemu człeku sprzykrzy się w końcu to prześladowanie i walka; zwłaszcza, że bezskuteczne były; lecz przeciwnie, im mniej mu się powodziło tem mocniej się zbój nasadzał i wszystkie siły wytężał.

Dalibór wreszcie padł na myśl, aby u niegodziwego Bąka pokój choćby okupić. Gotów był na to jaki miał

zapas grosza poświęcić. Użyto przyjaciół, co się do Nikosza zbliżyć mogli, i poddano myśl jakiegoś układu i zgody. Na pierwszą o tem wzmianką Bąk się zerwał, a było to w Sieradziu na zjeździe ziemian, krzycząc, że gdyby mu górę złota taką dano, jak była Wilcza, nie kupiono by za nią spokoju dla Szarych, bo po to on żyje, aby się na nich mścił iż mu jedyny skarb wydarli.

— Byłbym ja innym człekiem — począł, gdybym tej żony dostał którąm mieć chciał. Bogu bym i ludziom się zdał a za grzechy moje odpokutował — nie dali mi jej... Lała się krew moja, lać się będzie ich krew aż do kropli ostatniej i albo ja ją będę mieć lub zginę.

Poczęli go drudzy opamiętywać iż cudzą już żoną była, że jej nigdy dostać nie może.

— To niech on zginie co mi ją wziął, krzyczał zbój, albo niech i ona ginie, aby jej ani on ani nikt nie miał, gdy ja mieć nie mogę!!

Pókim żyw nie ustąpię...

I klął się tak strasznie, iż słuchający uszy sobie zatykali. Nie było więc innego sposobu, jak przed sąd królewski go pozywać o gwałty i zbójectwa. Ale dla tych wojen nieustannych sądy się i zjazdy nie zawsze w porze odprawiały, Bąk nie stawał na nie, sądzono zaocznie, a schwytać nie było sposobu.

Musieli więc Leliwy i Koźlarogi z powinowatemi ostatecznego się chwycić środka, czatować na złego człeka aby go zgładzić.

Nikosz Bąk, który sam niegdy zbójem był, i wiedział, że głowa jego wiele wartała, umiał jej strzedz. Domyślał się co mu groziło, nie wyjechał z domu nigdy bez ludzi, dobierał najlepszych, zbroił się jak na wojnę, przytem czujnym był, pory wypatrywał, drogami się takiemi przemykał, że go wytropić nie było można; a jednym gościńcem nigdy dwa razy nie puszczał się.

Miał i ten rozum, że ludzi usypiać umiał. Czasem

go długu słychać nie było, przycupnął, siedział cicho, bąkano że chory... Zaczynano lżej oddychać; a on przysposobiwszy się w milczeniu, nagle potem rzucał się na nieopatrznych.

Choć żadne nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo, ustawicznie musiano czuwać w Surdędze, a ta baczność i obawa nużyła i starego Dalibora i Florjana. Zameczek jak gdyby czasu wojny musiał załogę mieć, oręż i wszystko czego potrzebował do obrony, bo gwałtownej napaści zawsze się spodziewać musiano. Ostrokoły i drewniane opasanie gdy cokolwiek z gliny opadło, raz wraz oblepiano i obmazywano na nowo, aby ognia nie podłożono pod nie, który razy już kilka znajdowano, wraz ze smołą i pakułami.

Ludzi, choć potrzebował Szary, do swoich osad i do dworu, a stręczyli mu się, wahano się ich przyjmować, bo i to się zdarzało, że w nich nasłanych zdrajców potem poznawano.

Przy tych wszystkich utrapieniach powszednich, inna kobietaby oczy wypłakała i los swój nieszczęśliwy przeklęła, ale Domna była wielkiego ducha niewiastą rycerską jak mąż, i w ogniu tem żyła śpiewając a śmiejąc się jakby w swem żywiole...

Mężowi też, który powinność swą rycerską i służbę odprawiać musiał, nie stanęła na zawadzie nigdy, nie strzymała go gdy szedł ani łzami ni słowami. Uspokajała owszem gdy na koń siadł aby o dom się nie zbyt troszczył, bo oni z ojcem rady sobie dać potrafią. Pod niebytność też mężowską, ona i Dalibór musieli czuwać bez wytchnienia.

Nocą straże chodziły z grzechotkami i nawoływały się. Na najmniejszy szmer podejrzany bito w deskę na ludzi, aby wstawali.

Wieczorem nie spuszczając się na nikogo, Dalibor sam lub Domna obchodzili gródek do koła, każdej furty probując czy była dobrze zawarta, każde okno zasuwając i pilnując czy za ostrokołami kamień, koły, haki były na podoręczu.

Dalibor nie bardzo spać mogąc, kilka razy w nocy wstawał... We dnie ktokolwiek się do wrót zjawił, musiano badać i opatrywać kto był, nim go puszczono. Jechać nawet do drugiej wsi bez zbrojnych nie było można, a po nad granicą gdzie były, drogi pozarastały, bo się nikt nie ważył na nie...

I gdy w tej dawniej tak spokojnej osadzie, wszystko stało otworem, dostatek panował, gromadziły się zapasy, teraz coraz było cieśniej.

Za to pusta niegdyś Wilcza góra, teraz Bąkiem zwana, już do dawnej wcale nie była podobną. Stanął dwór duży w pośrodku, a że stadninę chował liczną Nikosz, szop dla niej i dla trzody naklecono do koła. Na podzamczu po spaleniu go, przekopano rów i spuszczono wodę, a w pośrodku, jakby na złość pobudowano chaty nowe. Zbóje co przechodzili tu sami, gwałtem i różnemi sposoby bab sobie napytali. Zwozili je, gdy inaczej nie mogli, kędyś z za świata i takie których już nikt nie chciał, a że srogo trzymali, więc się to nie rozbiegało.

Drugim dobrowolnie, dla świętego spokoju sąsiedzi wieśniacy córki i siostry dawali, choć się to na wiele nie zdało, bo dla tego swoich, dzicz ta, nie poszanowała.

A że zbóje mieli różne nabywania sposoby, i nie można było ręczyć żeby i teraz po gościńcach nie napadali; był u nich wszelkiego mienia dostatek.

Ubożało do koła, ci w pierze porastali. Najlepsze konie, najtłuściejsze bydło, najpiękniejsze szaty na nich widać było.

Nikosz gdy jechał ze swoim dworem, z najpierwszemi ziemiany mógł się równać szatami, wierzchowcami i zbroją, tylko w oczy im nie trzeba było zaglądać, bo jak on sam tak jego towarzysze, na łbach mieli napisano z czego urośli i czem byli.

Starał się o to pilno Szary, aby Nikosza do pułku wezwano i na służbę rycerską, boby przynajmniej czasu tego gdy go doma nie bywało, spokojniejszym

mógł być. Lecz Bąk, który do zwady i napaści bardzo był skory na wojnę się nie śpieszył. Miał sposoby różne wymówienia się od niej.

Gdy się zrazu w okolicy ukazał, a wiedziano o nim od Leliwów, kto był i dawne jego sprawki też na wierzch powychodziły, stronili ludzie od zbója, nikt z nim na zjazdach na jednej ławie siąść nie chciał, ani pić i jeść u jednego stołu.

Ale to nie trwało długo. Zaczął rosnąć w pierze, potem co lżejszych ujmować sobie kubkiem, datkiem, końmi, bo to co mu łatwo przychodziło, tem lekko szafował, i powoli nawracali się doń niektórzy. Puszczano mimo uszów co broił, a garnęli się do wesołego i chętnego człeka. Ośmielił się zrazu jeden pojechać do Bąka w gościnę na Wilczą górę, a jął potem zachwalać jak go tam przyjęto i obdarzono, pociągnęli probować drudzy.

Bąk co sam jak palec był w początku, poczekawszy miał już przyjaciół i drużynę. A wszyscy ci co do niego przystali już przez to Szarym nieprzyjaciołmi musieli być. Wprawdzie nie z najlepszych się to ściągało, a z odpadków, ale to zawsze najgłośniej krzyczy co najmniej warte.

Ze smutkiem musieli na to patrzeć Leliwowie i Dalibor stary i młody Florjan, lecz się nie skarzyli, bo mieli swą dumę... Leliwa też wkrótce zmarł synowi po sobie zostawując Lelow. Na Surdędze nie zmieniło się nic, a było coraz biedniej. W czem tylko pokrzywdzić i uszkodzić mógł Nikosz, nie omieszkał.

A że granice długo zapomniane były i zaniedbane, nikt ich nie pilnował, teraz obronić było trudno. Bąk się gwałtem powrzynał w posiadłość Szarych, tak, że kopce posypał niedaleko zamku na łącę, która jak światem do Surdęgi należała. Rozsypano je drugiego dnia, przyszło do krwawej bójki, lecz straż trzeba było trzymać, bo po nocy wpadali zbóje Nikosza z łopatami i co było rozorane, znowu nasypywali.

Toż samo w lasach na drzewach gdzie były znaki i krzyże na starych pniach, korę i żywe drzewo pozrębywano, a nowe w środku puszcz powyciosywano i posmolono aby się jak stare wydawały.

Zatem szło, że o połowę ziemi w sporze potrzeba się było rozpierać ciągle.

Nikosz się śmiał i radował, gdy się dowiedział, że w Surdędze nań narzekano, a gdy mu się udało dokuczyć, chwalił się z tem, i gdy Florjana nie było w domu, podjeżdżał z kupą pod wrota same gościńcem, stawał i wykrzykiwał, a szydził, że w ludziach co słuchali krew kipiała...

Czasem doń strzelano, lecz nie łacno go było dosięgnąć, bo żelaza na sobie miał dosyć, hełm nosił zawarty, bez tarczy małej nie ruszył, a oręża u boku i siodła miał nawieszanego, że na dwóch by go stało. Ci co z nim bywali także nie lękali się lada postrzału.

Jak ze wszystkiem w świecie człowiek obyć się musi i zżyć, tak i z tem nieszczęściem oswoili się na zamku wszyscy, oprócz pana Florjana. Temu więcej niż ta ciągła obawa i czuwanie dolegał srom iż jednemu przybłędzie niepoczciwemu, który się tu zwlókł niewiedzieć zkąd, ojczycem tutejszym nie będąc, musiał czoło stawić w zapasy z nim iść i nie módz go pokonać.

Nie mówił on o tem bo skarzyć się nie lubił, lecz życie mu zatruwała ta troska dla żony, którą choć zawsze dobrej muśli i wesołą widział, żałował iż w zamknięciu tem i jak w więzieniu żyć musi.

Myślał więc i przemyśliwał ciągle jakby raz pozbyć się człowieka tego i spokój biednej kobiecie powrócić, a modlił się o to jedno jak o nagrodę do Boga, aby mu dał nad wrogiem zwycięztwo.

Nie obiecywało się ono tak rychło.

IX.

Wiedział Bąk o wszystkich obrotach Szarego. Miał on swych ludzi wszędzie, a gdy inaczej języka dostać nie mógł, żebraka, któremu u siebie chleb i przytułek dawał, niejakiego Kurpia, wyprawiał do Mojkowiec, a czasem i do Surdęgi.

Kurp ten, niegdy także z ziemiany polowaniem się po gościńcach zabawiał, potem okulał i zniedołężniał, chadzał więc z torbami za jałmużną, a że gębę miał wyprawną, i ludzi gadkami i piosenkami bawić umiał, nie źle mu się działo.

Ten gdy raz na Wilczą górę zaszedł i w czeladnej izbie durzył zebranych próżniaków, którym do smaku przyszedł, bo w nim swojego poznali; nadszedł Bąk. Najulubieńszą jego też zabawą było ze swą czeladzią, w dymnej izbie przesiadywać i ladajaką rozpustną rozmową czas zabijać. Kurp mu się podobał, na długie zimowe wieczory go sobie zamówił, piwa mu nie szczędząc.

Łaził więc tu stary i siedział chętnie, a gdy się lepiej poznali, zaczął go Nikosz tu i owdzie wysyłać, aby się o coś dowiedział. Nie obudzał stary kaleka podejrzenia, znano go od dawna, że się po okolicach wałęsał. I tak uczynił sobie zeń pomocnika.

Wlókł się Kurp do Mojkowiec do Wronikowa, a gdy tam nie mógł się dowiedzieć co mu było potrzeba, szedł do Surdęgi, stawał u zamkniętych wrót, śpiewał, piszczał, aż mu wreszcie je otworzono.

Tu też żebraka od ognia w czeladnej izbie nie odpędzano. Dawano mu jeść, słuchano chętnie co rozpowiadał, wypytywano i wygadywano się przed nim, nie zbyt ostrożnie.

Kurp zawsze mógł się tu dowiedzieć kiedy i na

jak długo wyjeżdżał z Surdęgi Florjan, i gdy się go z powrotem spodziewano.

I teraz też, gdy Hebda wezwał Szarego, a sposobiono się do wyprawy przeciw Krzyżakom, Bąk był dobrze uwiadomiony. Wiedział i o tem, że ludzi co najlepszych z sobą zabrał Szary, a był pewien, że z niemi zostanie przy królu i nie zjawi się do Surdęgi, aż po wojnie, która się zapowiadała długą i krwawą.

Właśnie gdy Szary do Poznania śpieszył, a potem do króla pod Kraków, Bąk na Wilczej Górze przemyślał jakby z niebytności jego korzystać.

Jesiennego wieczora w wielkiej czeladnej izbie u Bąka wszystek jego dwór był zgromadzony. Na ławie w kącie siedział i Kurp kije swe obok siebie postawiwszy.

Twarze i postacie, które z za dymu gdzieniegdzie się ukazywały, oświecone płomykiem skałki, wszystkie były do siebie dobrze dobrane. Zbóje jeden w drugiego, zarosłe, czarne, opalone, z porąbanemi twarzami, nie wiele poszanowania okazując swojemu panu i wodzowi, siedzieli i leżeli na wpół, z kubków popijając i niekiedy dzikiemi głosy się odzywając lub wykrzykując.

Bąk srogim bywał dla tych ludzi, gdy szło o posłuszeństwo, wiedzieli, że gdy się wściekł z gniewu, nie jednemu łeb ściął, ale bywały godziny, w których im z sobą pozwalał poufale przestawać. Wśród nich, gdyby nie dumna postawa i nawyknienie do rozkazywania, które człowieka czyni siebie pewnym a piętnuje w nim wodza, trudno w nim było rozeznać pana. Odzież miał prawie taką na dzień powszedni jak i drudzy, nie odznaczał się od nich niczem. Obyczaj też miał ów leśny a starego rzemiosła, mowę taką jak inni zbóje.

Wśród nich czuł się w swoim żywiole.

Stał teraz w pośrodku nich, w bok się ująwszy, a towarzysze siedzieli, niektórzy leżeli na ziemi i na ławach, pospierani na ręku. Kurp piwo pił, kubek

trzymając w jednym ręku, w drugim dużą chleba kromkę, białem czemś zasmarowaną, którą chciwie pożerał.

Bąk ku niemu był zwrócony.

— Gadaj że, psia wiaro, coś tam słyszał?—wołał.

— Tom ci wszystko wygadał—odparł, chleb żując, niewyraźnym głosem, bo gębę miał zatkaną Kurp — mało ich jest na zamku. Mniej, niż kiedy bywało, a w potrzebie stara wiedźma, Zurycha, furtę tylną otworzy. Zaprzysięgła się.

— Gdyby łotrzycy tej pewnym być! — zawołał.— Po co na zamek się rzucać i szturmować, dośćby się było podkraść, podpełznąć, przez furtę wpaść, Domnę porwać i ogień podłożyć.

— A wprzódy kąty oczyścić!—zaśmiał się z ławy jeden.

— Jest tam się czem pożywić — rzekł drugi. — Zamek stary, a po tych starych zawsze najlepszy łup... Piwnice pełne! skrzynie nie puste!

Bąk mniej zdawał się myśleć o łupie i nań rachować; o Domnę mu szło i o pomstę tylko.

Dumał.

— Coć Zurycha mówiła?—zapytał dziada.

— Klęła się, że otworzy—rzekł Kurp.— Ona wie, że ja ją zgubić mogę, bom tam był, gdzie męża swego struła, patrzałem na to... i przysiądz na to mogę.

— Babom wierzyć trudno! — zamruczał Bąk. — Gdyby Zurycha nie zdradziła, ja mówię, tylko się do furty podkraść.

— A jak się do nich podkraść? — wtrącił inny drab, który stał niedaleko pana.—U nich dzień i noc straże chodzą, sam stary wstaje razy kilka i wypatruje. Zdalaby dojrzeli.

— Zurycha, kiedy taka mądra i sprawna — rzekł któryś z ławy — jakby to nie mogła ludziom zadać na sen... i popoić.

Dziad głową potrząsał.

— Ja na baby bardzo rachować nie myślę—przerwał Bąk — na co nam to? Jest nas dosyć aby na zamek się wdrapać, choćby furty nie otworzyła, wrota wyłamać, podpalić... a i drabiny weźmiemy z sobą.

Jeżeli ich teraz nie dostanę, to nigdy!!

— Jak zechcecie, to dostaniecie—rozśmiał się jeden ze śmielszych.— Wam Domna, a nam lochy i skrzynie...

Bąk ręką obojętnie rzucił, nie o skrzynie mu chodziło...

Kroków kilka postąpił ku jedzącemu ciągle i popijającemu Kurpiowi.

— Gadaj—rzekł zadumany.

Dziad począł nań patrzeć, nie odpowiadając jeszcze.

— Ludzi wielu?—pytał Nikosz.

— Policzyć trudno — bąknął żebrak—kto ich pozna? a snuje się to tam z kąta w kąt ciągle, tylko widziałem, że nie bardzo gęsto.

— Co tu lik znaczy?—przerwał z ławy leżący.— Na jednego z tych, co na zamku, nas musi być kilku, bo zawsze lepiej się bronić, niż napadać. Jeśli furty nie otworzą, nam wszystkim trzeba iść do ostatniego, wrota kołkiem podparłszy... Kto żyw! Raz chcecie skończyć, to skończyć!!

Zamruczeli inni, popierając to zdanie. Bąk ciągle stał zadumany.

— Z temi ludźmi ja nie mam szczęścia — począł w pół do siebie—tyle lat, tyle razy próbuję, jużbym innych ze świata zgładził, i zapomniał, tych ani ukąsić... Urok jakiś!

— Urok! pewnie, że urok — odezwał się dziad — ale na to sposoby są...

Śmieli się niektórzy po cichu, spoglądając na żebraka, który dumnie usta zciął, poczuwszy szyderstwo...

— W tem urok — odezwał się leżący na ławie —

że o babę idzie... Zachciało się koniecznie tej, gdy na świecie ich tyle jest.

Spłunął, Bąk się namarszczył.

— Sprawa nie o babę — zawołał głosem podniesionym—ale za krew moją, ja zemsty i krwi potrzebuję... Najlepsza pomsta będzie, gdy im ją odbiorę.

Cicho odezwał się jeden z towarzyszów:

— To i dzieci cudze przyjdzie brać! — uśmiechnął się.

Nikosz, czy nie słyszał, czy udał, że nie słyszy, nic nie rzekł na to. Gromada jego po cichu mruczała; spoglądali na swego pana i wodza uśmiechając się skrycie, i pokazując palcami. Kurp dojadał i dopijał.

Dwóch ludzi wyprawił Bąk jeszcze po wioskach do Majkowiec, Wronikowa i Lasek, aby tam przez swoich (bo wszędzie ich mieli), gdyby w Surdędze na gwałt uderzono, czy zapalono wiechy, nie bardzo kto na pomoc przybywał.

Nazajutrz, w noc bezksiężycową, ciemną, najście na zamek było postanowione. Dwór Nikosza cieszył się z tego. Ludzie byli do bójek i napadów nawykli, smakowali w nich, a teraz dawno już nie kosztowali. Przykrzyła się praca koło domu jednostajna... Kurp pozostał na Wilczej górze, aby się przypatrzeć wszystkiemu.

Następnego dnia wszyscy się do wieczora wylegali, nie wiele mając do czynienia, bo wszystko co potrzeba pogotowiu stało.

Nikosz tylko niespokojny biegał po dworze, po wałach, wyglądał ku Surdędze, gadał sam do siebie; zaglądał do czeladzi i na chwilę nie spoczął.

Nad wieczór gorączka go zaczęła opanowywać coraz większa, uzbroił się zawczasu, miecz wyostrzył, zbroiczkę przypiął, i tak ciemności czekał niecierpliwie, jak drudzy dnia wyczekują. Na dany przez niego znak, ludzie zebrani do gromady, podzieliwszy się na dwie kupy, z których jedna do wrót głównych

miała przypuścić szturm, druga u furty czekać na obietnicę Zurychy, ruszyli dróżyną ku Surdędze, z przykazaniem milczenia i nie szczękania bronią.

Choć mu pilno było bardzo, Nikosz zatrzymał ich, dopóki światło na zamku widać było.

Jednego ze swoich z częścią ludzi na gościniec wysławszy, aby około wrót wielkich gwałt uczynili, toporami je rąbiąc i usiłując ognia podłożyć, sam Nikosz poszedł z resztą oddziału do furty, spodziewając się, że mu ją otworzą.

Udało się wśród nocy przymknąć tak pod wrota zręcznym napastnikom, iż ich straż nie postrzegła i nie posłyszała, aż toporami poczęli łamać bramę... i ognie rozpalać.

Jak piorun to spadło na małą załogę Surdęgi, która się cała ku wrotom zbiegać zaczęła, krzycząc i nawołując.

Nim się tam ludzie namyślili co czynić i Dalibor, posłyszawszy wrzask i łomot, kożuch wdziawszy wybiegł; już napastnicy wrota potrzaskali od dołu, ale kute były sztabami żelaznemi, więc się trzymały, a za niemi drugie stały, o których nie wiedzieli.

W zamku zawrzało...

Domna wstała przerażona od kolebki dziecka, załamawszy ręce; przytomność opuściła ją na chwilę. Sądziła, że zbóje się już na zamek wdarli. Lecz natychmiast prawie odzyskała przytomność, dziecko oddała niańce, a sama pochwyciwszy mieczyk, za starym ojcem pogoniła.

Około wrót już się bronić zaczęto i zrzucać kamienie i koła zębate na oblegających.

Dalibór rozkazywał z zimną krwią człowieka, który wiele już przeżył i nie łatwo się daje ustraszyć.

W czeladnej izbie ogień był jeszcze, tu siedziała Zurycha, blada i drżąca. Domna wpadłszy do niej, nakazała wodę nastawiać i garnki ze smołą ludziom nosić na wyżki.

Przelękła baba, sama nie wiedząc co czyni, była

posłuszną i z niezmierną gorliwością poczęła dziewkom rozkazywać.

Czeladź cała poszła na posługi załogi nielicznej, kto z czem mógł i miał.

Od wielkich wrót udało się na chwilę napaść odegnać, ale wnet ludzie Nikosza drabiny nieco dalej do częstokołów przystawiać zaczęli, patrząc gdzie obrońców nie widać było...

Tymczasem Bąk u furty stał i czekał, nie chcąc z tej strony nic rozpoczynać, a rachując na zdradę.

Zurycha zaś na oku trzymana, ze strachu, by się nie wydało co zamierzała, służyła i kręciła się, ani mogąc, ni chcąc do furty się dostać.

Nikosz czekając tu dosyć długo, słuchając wrzawy, która go dochodziła, a nie wiedząc co się działo z drugiej strony, kilka razy na znak napróżno uderzywszy do furty, klnąc, poleciał po wałach dokoła do swoich, aby się przekonać naocznie, jak się im wiodło.

Zaczynał wiarę tracić w obiecaną zdradę baby.

Zamkowi na znak niebezpieszeństwa mieli zawsze gotowe wiechy do zapalenia, któremi do wiosek znać dawano, gdy pomocy od ludzi potrzeba było. Paliły się już te ognie, a chłopcy bili w deski drągami na gwałt.

Gdy Nikosz dopadł do wielkich wrót, kilku swoich znalazł płonącą smołą pooblewanych i rannych od kamieni. Strzały z za ostrokołów świstały.

Pierwsze wrota były na pół zrąbane, ale za niemi drugie takie widać było, przez mały wyłom nikt się nie śmiał cisnąć, bo pomiędzy dwojgiem bram najniebezpieczniej stać było.

Krzyknął na swoich Nikosz, aby ich zagrzać i widząc, że sam tu nie wiele zrobi, nazad do furty zawrócił, gdzie ludzi część zostawił.

Z tamtej strony cicho było, a że obiecana furta się nie otwierała, Bąk zniecierpliwiony, drabiny na

ostrokoł zarzucić kazał, i sam na pierwszą drapać się począł.

Właśnie, gdy już głową sięgał nad parkan, tknięty jakimś niepokojem, aby się do koła obejrzeć, stary Dalbór nadbiegł tu z dwoma łucznikami, którzy dostrzegłszy w ciemności człeka, strzały puścili tak szczęśliwie, że jedna z nich przez otwór w szyszaku do twarzy Nikoszowi się dostała.

Wyrwał ją zaraz, ale z drabiną się zachwiał — i padł.

Zurycha, która ze strachu Kurpiowi może co obiecywała, teraz z drugiego, większego jeszcze nie śmiała nic poczynić i służyła zamkowym. Do furty iść ani myślała...

Nikosz ranny, na co mało zważał, już nie rachując na zdradę, ludzi wszystkich zagarnąwszy, pobiegł do wielkich wrot szturmować.

Bronili ich, jak mogli, Dalibór i jego czeladź, ciskając, co pod ręką było, strzelając, sypiąc i lejąc, lecz pierwsze wrota już były złamane, drugie podpalano, a wszyscy Nikoszowi ludzie, gdy tej strony na ostrokoły się drapać zaczęli, załoga im starczyć nie mogła, bo niewiele jej było.

Cudem chyba zameczek się mógł obronić, a ludzie ze wsi na odsiecz oczekiwani nie przybywali, nawet z Majkowiec...

Dalibór biegał rzucając swoją gromadkę to tu to ówdzie, gdzie najpilniej się było bronić..

Wrota choć wodą lano, paliły się, bo coraz więcej suchego chrustu pod nie podkładano.

Stary w końcu postrzegł, że jeśli odsiecz nie przybędzie, napastnicy się włamią do wnętrza.

Widziała to i Domna... Nie było innego ratunku, jak się im zdawało, tylko tylną furtą po nocy wymknąć się z dziećmi, spuścić z wału i do lasu uchodzić, mienie i zamek oddając zbójom...

Domna choć blada i wylękła, poszła po dzieci.

Starsze z nich miał wziąć Dalibór, młodsze ona—noc była ciemna, z tamtej strony nie widać było napastników, furta się zdawała jedynem zbawieniem.

Gdy już Domna płaszcz brała i dziecię z kolebki miała podnieść, Zurycha, która posłyszała ją rozmawiającą z Daliborem, z krzykiem do nóg jej padła.

— Tamtędy nie można! nie idźcie! — poczęła krzyczeć — nie idźcie. Na Boga... tam ludzie są...

I ten więc ratunek ostatni stał się nie możliwy. A tu do wrót coraz się gwałtowniej dobijano, i po drabinach leźli ludzie, a co którego strącono, drugi się ukazywał z innej strony, a za nim trzeci. Nie wiedzieć gdzie się było obrócić.

Z wiosek ludzie, czy znaków nie widzieli, czy iść się obawiali, nie przybywali.

Trzeba się więc było na śmierć, lub gorszą od niej niewolę gotować, bo i ukryć się gdzie nie mieli.

Nikosz powtórnie ranny, gdy się tu na drabinę wdzierać probował, latał jak wściekły, własnych ludzi popychając i tłukąc — gdyż się obawiał, aby nareście z sąsiednich wsi gromady nie nadciągnęły.

Do płonących już drugich wrót drągi mocne przystawiwszy oblegający, zaczęli je napierać silnie, bijąc w nie i usiłując wyłamać. Jeszcze chwilka, a i one paść miały, gdy na gościńcu lecące pędem usłyszano konie.

Kilkunastu jezdnych nadbiegało. Nikosz sądząc, że chłopstwo przybywało z wiosek, obrócił się przeciwko nim z częścią swoich ludzi.

Lecz zbladł i zatrząsł się w pierwszym, który już z mieczem nań godził, poznając uzbrojonych ziemian... Zdało mu się, a raczej przeczuł w tym przeciwniku, którego żelazo dwa razy hełm jego ugodziło — Florjana Szarego.

On to w istocie był przybywający z pod Krakowa, którego opatrzność sprowadziła właśnie na tę godzinę.

Nikosza powaliwszy, bo ten się zachwiał i na kolana przypadł—Florjan i jego czeladź siadła na kark

oblegającym, którzy pochwyceni niespodzianie stracili wnet męztwo i zbiegać zaczęli... Przy blasku ognia który pod wrota był podłożony, Dalibor postrzegł odsiecz przybywającą — i już był pewien ocalenia. Czeladź się rzuciła z resztkami pocisków na tych, którzy jeszcze u parkanów stali. Najezdcy pierzchać zaczęli.

Nikosz porwał się zaraz na nogi, ale już widział, że nie równą była walka, i wnet za załomem ostrokołu zniknął, zostawując swoich, aby się ratowali jak mogli.

Trupów kilku położyli Florjanowi, dwu czy trzech rannych związano, Dalibór palące się wrota kazał odeprzeć i załoga wybiegła panu młodemu pomagać.

Oczyszczono zaraz wjazd... i cała ta straszna burza pierzchnęła... kryjąc się gdzieś w nocy ciemnościach.

Gdy Szary z konia zsiadłszy przez żużle płonące wchodził na zamek, ujrzał naprzeciw siebie stojącą Domnę z młodszem dzieckiem na ręku, i mieczykiem u pasa. Blada była jak, anioł śmierci, uśmiechnęła się temu cudowi, który ją dłonią niespodziewaną męża ocalił, ręką jedną objęła szyję jego i padła.

Kobiety nadbiegające wzięły ją na ręce i poniosły do domu. Florjan szedł za nią. Starego ojca pocałował w rękę milczący, starszę dziecię podniósł i zabrał z sobą.

Obawiać się już nie było czego, lecz szkody wyrządzone musieli ludzie natychmiast naprawiać, bo od zbója nigdy bezpieczeństwa nie mieli, a Bąk choć ranny, uszedł na swą Górkę.

Od powiązanych jeńców, których do lochów skrępowawszy rzucono, dowiedzieli się oblężeni wszystkiego, bo ci życie swe wypraszając, pana nie szczędzili, przeklinali go i prawili jak się długo do tej napaści przysposabiał.

Jeden z nich zagrożony wyśpiewał nawet o Kurpiu

i obietnicy Zurychy, którę zaraz ująć chciano, lecz wsród tego zamętu, baba, domyślając się, co ją czekać może, znikła...

Smutny i radośny razem był ten przyjazd Szarego do domu. Przyprowadziła go opatrzność na samą niebezpieczeństwa godzinę.

Gdy Domna po omdleniu oczy otworzyła i ujrzała go przed sobą, podniosła się tuląc do swojego obrońcy. Zdawał się jej cudownie zesłanym z nieba...

Florjan na przemiany ściskał ją i cisnące się do siebie dzieci, które, jak dzieci, ze łzów przeszły wnet do radości wielkiej, strachu chwilowego zapomniawszy.

Wszedł i stary Dalibór zasępiony, zmęczony, ledwie się mogąc utrzymać na nogach.

Nie mówili do siebie — patrzali tylko i Bogu dziękowali.

Florjan posępny, myślał już jak potrafi zabezpieczyć pokój rodzinie, gdy sam za dni kilka na powrót wyruszyć będzie zmuszony.

Napaść dnia tego najlepiej dowodziła, jak zuchwałym był ten sąsiad a wróg, który czyhał na chwilę, aby się mógł pomścić...

Załoga była za mała... Starzec jeden nie mógł wydołać obronie.

Znał już Szary swojego przeciwnika, że z życiem uszedłszy, kajać się nie będzie, ustraszyć nie da i tem gorętszą zemstą zapali. Rachować na to, że był odpędzony sromotnie i ranny nie mógł Florjan...

Zostałby był doma dla obrony, ale przyrzekł się wojewodzie; część swoich ludzi w obozie zostawił, powracać więc musiał i to rychło...

Teraz dopiero, gdy już napastników nie było, ludzie z wiosek nadciągać zaczęli i wrzawa powstała u wrót, bo włodarz i starszyzna winili ich o umyślne opóźnienie. Składali się osadnicy tem, że znaków ognistych nie byli pewni, że noc ciemna i drogi złe pośpieszyć nie dozwoliły.

Dla postrachu musiano sołtysów pobrać do lochu...

Z gromad wybrano parobków do pomnożenia załogi i Dalibór sam wyszedł, aby ład jakiś uczynić.

Na gwałt potrzeba było wrota i ostrokoły naprawiać, więc ludzi z siekierami wzięto zaraz z gromady, belki i kłody ściągać i ciosać zaczęto.

Tymczasem Florjan do szwagra Leliwy posłańca do Lelowa wyprawił, aby na naradę i posiłek przybywał...

Wszedł ranek po tej nocy strasznej mglisty i pochmurny, a tu na chwilę spocząć nie mógł nikt. Oprawiać wrota i opatrzyć zamek było pierwszą potrzebą, którą Szary przed wyjazdem musiał mieć załatwioną.

Gromady też winę swą czując, starały się ją podwojoną gorliwością zmazać...

Z kupy napastników straciwszy w zabitych, rannych i ujętych do dziesiątka ludzi, Nikosz poraniony, potłuczony nocą jeszcze doszedł do swej górki i obawiając się odwetu, wrota pozapierał, ludziom nakazawszy stać u wałów...

Wściekłości jego padło ofiarą, co w domu na progu mu się nastręczyło, bił własnych i mordował, potem rzucił się krwią brocząc i nie myśląc o ranach, jęcząc i przeklinając na łoże...

Kurp, we wrotach stał, gdy ludzie uciekający nadbiegli, wysunął się niepostrzeżony i schował, obawiając zemsty...

Zbiegłą Zurychę, gdy się nad ranem zjawiła u wrót, Nikosz wypadłszy z izby kazał obwiesić... Ludzie jej nie śmiejąc tknąć, bo się czarownicy obawiali, dali zbiedz...

Cały dzień następny nikt do Bąka przystąpić i słowa od niego dopytać nie mógł, rozganiał i bił ludzi, pieniąc z bezsilnej złości... Wieczorem zgłodniały pić zaczął i legł kamiennym snem ujęty...

Gdy się zbudził drugiego dnia innym już był — jakby się wytrzeźwił. Poszedł liczyć swych ludzi, o tych, których nie stało, pytał, na wał wlazłszy, popatrzał ku Surdędze, zamruczał coś sam do siebie, rany zaschłe poobmywał, odział się, uzbroił, konia kazał dać i u wrót postawiwszy straż odjechał precz, nie mówiąc ani dokąd, ani na jak długo.

Z Lelowa szwagier tegoż dnia do Florjana w kilka nadbiegł koni, wioząc z sobą dwu powinowatych z sąsiedztwa, których u niego poselstwo zastało.

Wyszedł naprzeciw nim Florjan, z czołem nasępionem, zamiast powitania ukazując im wrota, węgle u nich i trzaski z wyłamanej pierwszej bramy.

— Gdyby mnie cud jakiś tu nie sprowadził — rzekł — jużbym żony, ni dzieci, ni ojca, ni mienia nie oglądał, tylko kupę popiołu. Dobry sąsiad!!

Bracie miły — zwrócił się do Leliwy — wy o siostrze i o jej bezpieczeństwie radźcie... Za dzień lub dwa ja do króla muszę, a Bóg jeden wie, kiedy powrócę i czy żyw przybędę, bo się wojna sroga gotuje.

Jakoście mi bratem — pomóżcie i radźcie. Z tym człowiekiem, dopóki on żyw, końca nie będzie.

Leliwa spoglądał w koło nie odpowiadając, gdy jeden z ziemian, którego Pokrzywką zwali, odezwał się:

— Co tu radzić, jak na wilka trzeba polować na tego człeka i ubić go... jedna rada.

Drugi potwierdził to.

— Tak — rzekł Leliwa — gdyby go ująć można, nie żałowałbym dębu, a obwiesiłbym zbója... ale nie łatwa z nim sprawa... Siadł tu nam wrzodem między nami... chyba wszyscy się nań zbierzemy i pójdziemy obławą.

— Czyńcie z nim i ze mną—odezwał się Florjan— co wola i łaska, ja to jedno wiem, że na posługę królewską idę, a ojca, żonę i dzieci wam oddaję.

Spojrzeli po sobie i Pokrywka rzekł:

— Póki co będzie, musiemy my na Surdędze koleją straż sprawiać...

— Dobrze i tak—odparł Leliwa—ja ludzi przyślę.

— Ja też — dodał trzeci...

— Godziłoby się też—rzekł wchodząc w podwórze Pokrzywka—zajrzeć do niego na górkę i poprobować azali się lisa z jamy nie wykurzy...

— Lisa w jamie już nie ma—przerwał Dalibór— ludzie nasi widzieli go pono uchodzącego. Ma on z dawna swoich druhów rabusiów jako sam, pewnie po nich lub do nich umknął.

— A nie widzi mi się—dodał Leliwa—aby rychło drugi raz na Surdęgę się ważył, kiedy się wam go odprawić dobrze udało...

Nadszedł stary Dalibór.

— Gdyby nie opatrzność — rzekł, ręce podnosząc do góry—nie obroniłbym się, choć czeladź dobrze się zwijała. Gromady nie nadciągnęły, a baba Zurycha namówiona podobno im furtę tylną obiecała otworzyć. Oskarżono ją o to a najmocniej świadczy winę, iż uciekła.

Przybyli stali zdumieni...

— Wojna! — zawołał Pokrzywka...

— Nie bałbym się jej — wtrącił Szary — a zmógłbym biesa złego, gdybym doma mógł siedzieć, ale mnie na inną wojnę wołają — i muszę...

Wyprosiłem się na dzień, dwa wojewodzie, jakby mnie co tknęło...

Z przybyciem sąsiadów otucha wstąpiła w serca, Dalibór się czuł bezpiecznym. Florjan brata żony umawiał i gości swych, aby najdroższego skarbu jego strzegli.

Leliwa siostrę do siebie dla ubezpieczenia zabrać chciał, ale sama Domna oparła się temu starego ojca nie chcąc rzucić, który swego gniazda opuścić i zdać na cudze ręce nie mógł.

— Tu głowę położę — mruczał — ale przed tym

zbójem uchodzić, nie doczekanie jego. Srom dla moich siwych włosów, a od sromu lepsza — śmierć.

Zakrzyczano go, że wszyscy z nim Surdęgi bronić będą... Poszli tedy zaraz do koła opatrywać zameczek, ku czemu Pokrzywka się zdał i wielkie miał serce.

— Na wojnę nie zdążam, bo jedna ręka martwa mi wisi, to choć tu posłużę.

Tak dzień zszedł, a Florjan na ojca zdając gości, więcej żony i dzieci pilnował, po których miał tęsknić długo...

Domna już odzyskała całe swe męztwo, uśmiech i wielkie serce.

— Jedź spokojny — mówiła — my żołnierskie żony nawykłe być do tego powinnyśmy, że się z królem, ba i z wrogiem mężami dzielić musiemy. Toć dola nasza... a jam wiedziała kto mnie brał i komum przysięgała...

Jedź spokojny—powtarzała—Pan Bóg nas uratował cudem, nie odmówi i dalej opieki swej. Ludzi mamy mężnych, a ja i ojciec nie zaśpiemy. Co dopiero gdy przyjaciół w pomoc dostaniesz, a za opiekuna brata!

— Tak ty mi serca dodajesz—rzekł Florjan—bo co powinność rycerska to powinność, ano—mnie tak was tu zostawić z tym złoczyńcą pod bokiem?

Domna uderzyła go po ramieniu.

— Wszystko złe przeszło — rzekła — ja to czuję w duszy mej. Dawniej obawiałam się tego człowieka, jawił mi się we snach często, żem z krzykiem do kolebki przypadała broniąc Staszka... Dziś coś mi powiada, iż nie potrafi nic przeciwko nam...

Jedź, miły mój, a powracaj z łupem, i co lepsza, z imieniem dobrem, zastaniesz nas w progu nie jak teraz zapłakanych i strwożonych, ale witających zwycięzce i szczęśliwych.

— Amen — dodał Szary — i oby się to sprawdziło.

— Bóg łaskaw! — szepnęła kobteta...

Jeszcze dzień jeden pozostał Szary w domu, a miał tę pociechę, że mu cieśle do wieczora wrota nowe powstawiali, oczyścili wjazd i ostrokoły poumocywali.

Trzeba się było rozstać z Domną. Mężna ta niewiasta wyszła z dziecięciem na ręku na próg i przeżegnała go krzyżem świętym. Szary ciągnął do króla—wołała powinność.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM JIK ROMANOWIC 284